Nr. 18 (1166). Warszawa, dnia 19 Kwietnia (2 Maja) 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚĆ: POLITYKA: Z państwa bojaźni bożej. — Tydzień polityczny. — ODCINEK: Powrót, powieść (c. d.), p. Wacława Sieroszewskiego. — ŻYCIE SPOŁECZNE: Deszcz błotny, p. ad. — Z nad Warty i Odry, p. Pośrednika. — Narady na wystawie hygienicznej nad hygieną mniejszych miast i wsi, p. dr. E. L. — FEJLETON: Pamiętnik. — BADANIA NAUKOWE: Źródło zakazów małżeńskich (hypoteza), I, p. dr. Kazimierza Krauza. — LITERATURA I SZTUKA: Lucyan Muhlfeld, p. K. Radosławskiego — Na marginesie. — Reforma szkół średnich. — Prasa rosyjska. — Kronika. — Odpowiedzi Redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

Z państwa bojaźni bożej.

Nigdzie na kuli ziemskiej zwyczajny podoficer, nie czuje się tak wysoko wyniesionym nad ludzkość, jak w Prusiech.

W święta Wielkanocne, na ulicy w Essen, wielka figura, kadet morski na urlopie, Hüssener, spotkał żołnierza artyleryi, Hartmanna, podobno w stanie nietrzeźwym, od którego prawdopodobnie i sam nie był wolnym. Znali się przed świętami, ale w święta Hüssener znajomość na kołku zawiesił i, dmąc tylko w swe starszeństwo, kazał się Hartmannowi zatrzymać. Ten, gdy dostrzegł zamiar aresztowania, zaczął uciekać. Kadet za nim, dogonił go i, obrażony w poczuciu swej wyższości i wrzekomej władzy, dobył szpady i przebił go na wylot. Taka sprężystość, taki duch wojenny, poszanowanie munduru i skorzystanie z wysokiej rangi kadeta wywołały oburzenie w całym narodzie niemieckim. Członkowie centrum katolickiego, Groeber i Stölz, wnieśli umyślną interpelacyę do sejmu Rzeszy, a d. 24 kwietnia sejm odbył nad nią rozprawy. Interpelanci zakończyli wywód swój uprzejmą prośbą do kanclerza, aby raczył wyjednać gdzie należy prawo ograniczające możność noszenia broni przez żołnierzy urlopowanych. Niepodobna było i łagodniej zredagować i lękliwiej uzasadnić i wreszcie niewinniej zaokrąglić wniesionej interpelacyi.

Admirał Tirpitz, sekretarz stanu, naczelnik urzędu marynarki w Rzeszy, jako przedstawiciel rządu nie mógł wykręcić się ważnością lub niedostępnością sprawy i dzięki też temu tylko dał odpowiedź, która mniej więcej przyniosła następującą argumentacyę: Prawda, że prawo pozwala dobywać broni, ale pozwoleniem tem obejmuje tylko wypadki oporu czynnego lub wykonywania rozkazu; i w tych jednakże wypadkach ostateczna tylko konieczność upoważnia do skorzystania z prawa. Hüssener przekroczył prawo, ani bowiem nie wykonywał rozkazu, ani nie spotkał oporu czynnego. Niema co zresztą robić wielkiego hałasu. Wypadek w Essen jest odosobniony; niewolno go uogólniać. Marynarka surowo potępia czyn kadeta — a to narodowi niemieckiemu wystarczyć powinno; głos bowiem marynarki daje mu rękojmię jak najdzielniejszą, że podobne wypadki już się nie powtórzą. Co do żądania interpelantów, to zadośćuczynić mu będzie trudno; wypadałoby chyba wogóle zabronić wszystkim noszenia broni po za służbą, a to jest niepodobne. Ponieważ przytem pan sekretarz nie dał wyraźnego a stanowczego przyrzeczenia, że Hüssener pójdzie pod sąd, można powiedzieć, iż puścił i interpelantów i sam sejm z kwitkiem. Zwykła to metoda ministrów pruskich: albo nic nie robić, albo robić nic, gdy się naród przez posłów swoich na nadużycia skarży.

Nie w powodzeniu też interpelacyi, jej skutku państwowym, ale w krytykach absolutyzmu wojskowego, które się po odpowiedzi ministra w sali sejmowej rozległy, tkwi waga i doniosłość rozpraw z d. 24 kwietnia. Pomijamy to, co wolnomyślny Lenzmann wylał na samego Hüssenera; dotkliwem musiało być dla rządu, dla cesarza Wilhelma to, co powiedział o hodowli podobnych do kadeta roślinek na rozkosznych kwietnikach armii niemieckiej, która, oczywiście, jest głównie armią pruską. Dalej i głębiej sięgnął Bebel. Radę sekretarską, aby nie uogólniać wypadku, przedewszystkiem wrzucił do kosza; właśnie, jeżeli gdzie, to tu, uogólnienie jest nakazane: wzrok publiczny nie sięga we wnętrza koszar, a czyny jednostek są czynami panującego nad jednostkami systematu. Młody oficerzyna ma już wpojone w siebie pojęcie swej wielkości; nawet pierwszy lepszy podoficer uważa się za półboga. Systemat to urabia ludzi niższych według woli wyższych. Obaj mówcy, Lenzman i Bebel, żądali zakazu noszenia przez żołnierzy broni po za służbą. Pierwszy z nich powołał się na inne państwa. Bebel zakaz kategoryczny uznał za konieczny. Przemawiało jeszcze wielu mówców, Groeber i sam admirał, bardzo niezręcznie pływający po Izbie; skończyło się wszystko na gadaninie, z której tylko dwa powyższe głosy zostaną. Rezolucyi nie uchwalono, choć jej dopominała się sama godność narodowa. Im wyższą materyalna potęga, tem głębszy moralny upadek — w państwie bojaźni bożej.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Uwagę od kwestyi bałkańskiej odrywa w tej chwili sprawa Mandżuryi. Rosya oświadczyła już dawniej gotowość do opuszczenia tej prowincyi, obecnie według *Reuters Office* donosi, że uczynić to chce pod następującymi warunkami: 1) ani nowych portów traktatowych, ani nowych konsulatów zagranicznych; 2) dochody celne w Niu-czuangu pobiera bank rosyjsko-chiński; 3) Chiny nie odstąpią z Mandżuryi nikomu nawet piędzi ziemi; 4) tylko Rosyanie mogą służyć w zarządzie tak cywilnym jak wojskowym; 5) zarząd ten pozostanie nadal bez zmiany; 4) Rosya będzie miała własne telegrafy; 7) i kontrolę sanitarną w Niu-czuangu. Ks. Czyng, następca Li-Hung-Czunga, opiera się. Opierają się Anglia i Japonia i po-

słowie ich wystąpili już odpowiednio w Pekinie. Prasa angielska i japońska dopominają się bezwarunkowo czynu zapowiedzianego przy zajmowaniu. Sprawa bardzo ważna właśnie z powodu swej wagi może znaleźć rozwiązanie niespodziewanie lekkie. Osią jej jest odwaga i wola Anglii.

W Macedonii ruchawka nie ustaje, ale też i nie rozwija się tak, aby ją choćby poczynającą się walką powstańczą nazwać było można. Widocznie karabin ochotnika bułgarskiego tylko się manifestuje, a rzeczywiście walczy nadzieja otrzymania czegoś od dyplomacyi. Stosunki Bułgaryi w stronie najważniejszej wracają do normy nawet w swych objawach. Wznoszenie pomnika w Plewnie dla poległych w r. 1877 dało sposobność do uczynienia w d. 25 z. m. wynurzeń serdecznych. Paprykow został inspektorem wojska — symptomat większej względności dla pan-bułgarstwa. Najświeższa audyencya pp. Zinowiewa i Calicego u sułtana miała nastrój poważny; obaj ambasadorowie zażądali wysłania wojska przeciw Albańczykom-arnautom i złamania ich oporu siłą. Poparł to żądanie zaraz niemiecki Wangenheim; francuski dopiero w kilka dni potem. Sułtan wezwał nowe bataliony z Azyi Mniejszej, zamianował, jak już doniesiono, dowódzcę, ale do działania się nie rwie: ma przecież wystąpić jako wróg najlepszych Turków. Dlatego pewno i Ibrahim, zabójca konsula Szczerbiny, jeszcze żyje. Dwukrotnie podaną wiadomość o zamordowaniu przysłanego do Mitrowicy konsula Maszkowa z powodu jej wagi do czasu urzędowego potwierdzenia uważamy za prostą pogłoskę.

W całej tej zawierusze faktów, stosunków i żądz najważniejszą jest wątpliwość: jak też długo utrzyma się porozumienie Austryi z Rosyą. Dotychczasowe wskazówki nie są zbyt pomyślne. *Nowoje Wremia* surowo krytykuje Szella za oświadczenie, że na półwyspie żadne mocarstwo nie powinno mieć wpływu przeważnego. Dyplomacya austryacka jak gdyby przechyliła się na stronę rządu tureckiego, uwzględniając liczne bardzo przeszkody do zaspokojenia ludności, a raczej powstrzymania ruchów bułgarskich za pomocą reform. W dziennikach znalazła się rozmowa bar. Calicego z jakimś dygnitarzem tureckim, z której wynika, że sułtan chce, ale nie może nic zrobić dla spieszniejszego wprowadzenia programatu; brak mu do tego samych chrześcian mających wejść do zreformowanej administracyi. Dodać potrzeba, że reformy, najdoskonalej nawet wprowadzone, nie uspokoją Bułgarów. Ruchy zbrojne trwać będą; zachęca je i popiera sam rząd bułgarski. Na ten rząd zatem wypadałoby wywrzeć nacisk silniejszy niż dotychczas, jeśli dyplomacya szczerze pragnie pokoju i nie chce dawać oparcia owym nadziejom wielko-bułgarskim. Doniesienia o zbrojeniu się Austryi i jej zamiarze posunięcia się po za Mitrowicę do Albanii były czystym humbugiem. Rozsiewacze pogłosek nie pomyśleli, że byłoby to hasło do wojny, a nie Austrya hasło to wyda: tak głupią jeszcze nie jest.

Loubet objechał już Algeryę, zajrzał do Tunisu i wraca do kraju. Telegraf nie przestaje zapewniać o zapale Arabów; wolno mu nie wierzyć. We Francyi usuwanie opornych zakonników z siedzib jest główną sprawą państwa i rządu, a w pewnej mierze i samego społeczeństwa. Wszędzie: w Bretanii, w Langwedocyi, w Delfinacie, w Lotaryngii — występuje opór z pomocą ludności wiejskiej, a przy współdziałaniu tego, co się nazywa klerykalizmem, a co stanowi inteligencyę katolicką. Obsługę w Lourdes pełnić będą księża świeccy. Pogłoski o nieporozumieniach Loubeta z Combes'em rozpuszczają nacyonaliści, twórcy czarodziejskiej bajki to o milionie, to o 2 i pół mil. fr. na przekupienie Izby żądanych, to przez tego, to przez owego syna, krewnego lub powinowatego jeśli nie jednego to drugiego ministra. W polityce ludzie dojrzali są zbyt często dzieciakami złośliwymi — i jeszcze we Francyi. Dreyfus zażądał nowej rewizyi swego procesu.

Prinetti stanowczo ustąpił z gabinetu, król powierzył sprawy zagraniczne admirałowi Morin'owi.

Król Edward był we Włoszech, w Neapolu i Rzymie; (d. 27 z. m.) w tej chwili jest już gościem Francyi. Nacyonaliści chcieli mu puścić finfę; chyba się namyślą, że dobrze jest czasem nie zrobić głupstwa. Robota dyplomatycz na podczas pobytu dotknie dwu punktów: Macedonii i Marokka, sprawy tureckiej i sprawy afrykańskiej śródziemnomorskiej.

Anglicy ponieśli d. 17 z. m. w Somalii klęskę: krajowcy z dwu oddziałów liczących przeszło 200 ludzi tylko 37 żywo wyjść pozwolili. Dowodził w boju Plunkett. Cobbe, który go wysłał, sam jest w niebezpieczeństwie. Powtórnie klęska spotkała majora Gough. Głównodowodzący gen. Manning, niespokojny o całą wyprawę zażądał posiłków; otrzymuje z Indyj.

Rząd angielski w budżecie na rok bieżący zamieścił pożyczkę dla Transwalu. Dochodów 154,770,000, wydatków 143,954,000 f. st. Koszta wojny 217 mil. f. st. Długów 770,778 tysięcy f. st.

W Hiszpanii republikanie odnieśli na wyborach zwycięztwo w Madrycie, Walencyi i Barcelonie.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Deszcz błotny.

Deszcz błotny? Skąd on mógł się wziąć? — pytano ze zdumieniem przed kilku dniami w Szwajcaryi. Przecież w chmurach niema kurzu... Okazało się, że wichry unoszą z ziemi wysoko pył, który miesza się z obłokami i spada z ich wodą pod postacią błotnistego deszczu.

„H. Sienkiewicz jest niewspółmierny epoce naszej zarówno pod względem społecznym, jak czysto duchowym... Jego twórczość jest nam obca... Nędza społeczna, bóle, antagonizmy, krwawe konflikty (starcia) osobistych ideałów i społecznych obowiązków, cała treść naszego moralnego życia nie znalazła w jego dziełach ani jednego wyrazu... Ze światem łączy go tylko oko. Jego psychologia, czysto zewnętrzna, zawiera w sobie to tylko, co ludzie o sobie wiedzieć muszą, by nie narażając się zbyt silnie, wzajemnie z sobą w granicach dość ściśle zakreślonych obcować mogli... Niema człowieka bardziej, niż Sienkiewicz, obcego wszelkiemu przejęciu się, zapałowi, mniej skłonnego do wyjścia z ustalonych przyzwyczajeń i nałogów duchowych... Dla niego nic nie jest zawiłe lub ciemne, ani w rzeczach ludzkich, ani w świecie całym... Gdyby nie istniał, mieszczaństwo współczesne powinnoby go wynaleźć. Dzięki jemu *le bourgeois s'amuse.*" Tak twierdził p. S. Brzozowski w *Głosie*, co chwila przytem zginając kolano przed panującym obecnie królem naszej literatury dla przeproszenia go za śmiałe słowa poddanego.

Bez względu na zasadność tych uwag, czy można było przypuścić, że ich następstwem będą najordynarniejsze wymysły polemiczne, oraz nietylko wykonane, ale publicznie ogłoszone policzki i rozprawy kijowe? Skąd z chmur czystej krytyki literackiej deszcz błotny? Jednakże spadł. A oto dlaczego.

„Niebywałość" stała się w naszej prasie ulubionym środkiem obronnym. Gdy jaki

---

4)

Wacław Sieroszewski.

POWRÓT,

POWIEŚĆ.

III.

Pogodny, letni poranek wyzłocił i rozbłękitnił rzekę.

Nawet ubogie, odrapane miasto wyładniało w jego promieniach. Ciemny pas nadbrzeżnych budowli, świecące po nad nim głowice cerkiewnych dzwonnic, biały klasztor za łączką, na zielonym przylądku, dalekie, mgliste góry, rozświetlone i radosne, przeskoczywszy piachy mielizn i szeregi statków, przeglądały się zalotnie w potężnem zwierciedle mknącej mimo nich wody. Jarmark w zatoce jeszcze się nie ocknął. Większość statków spała cicho, szczelnie zamknięta. Nieliczne postacie ludzi rysowały się ostro w rannem, niezbrukanem kurzawą powietrzu. Przeciągali leniwie zdrętwiałe we śnie członki, prali bieliznę, myli twarze, palili fajki lub pili herbatę, siedząc u ogni, których siwe dymy cieniutkiemi strugami płynęły ku górze.

Na uboczu, u wylotu zatoki, oddzielnie od niedawnych towarzyszek, pokryta półkolistą budą żaglową, z masztem wzniesionym pionowo, opięta, osmolona, ogładzona, podwiązana stała łódź, gotowa do drogi. Nurt trącał o nią i biegł dalej z pomrukiem, jakby wabił ją z sobą, a ona drżała wciąż, kołysała się zlekka od tej pieszczoty, napinała wiążące ją cumy, starając się nawrócić ku niemu.

Podróżni już dawno byli na miejscach. W środkowej części, za płóciennemi zasłonami kupcy gadali głośno i dzwonili butelkami. W tyle siedziała pani Karska ze śpiącym Olesiem na kolanach i wylękłemi oczami patrzała na męża. Ten, chmurny, stał na rudlowym pomoście i nie spuszczał oczu z przodu łodzi, gdzie, podniesione do góry żaglowe obszycie, pozwalało dojrzeć pustą zupełnie, zawaloną worami komorę. Mieli tam sypiać robotnicy. Ale dotychczas śladu ich tam nie było. Jedynie mały, marny, podobny do gnoma, kucharz Spirydion kręcił się na samym dziobie łodzi, koło wyłożonego cegłami ogniska i przestawiał niespokojnie naczynia z miejsca na miejsce. Od czasu do czasu prostował się, poprawiał łachmany na piersiach i spoglądał przeciągle na brzeg w stronę starej, przewróconej do góry dnem, na budynek przerobionej barki z oknami przebitemi w bokach i żelaznym kominem pośrodku. Stamtąd, to wzmagając się, to cichnąc, dolatywał nieustannie, gwar głuchy, wielogłosy. Dwaj „wodni strażnicy" z żółtemi blachami na piersiach i krzywemi szablami w czarnych pochwach u boku, krążyli dyskretnie w pobliżu.

— Na co czekamy? Gdzie gospodarz?! Gdzie robotnicy?! — krzyknął Karski do kucharza.

— Nie wiem. Chyba... chyba, że są... tam!— odpowiedział, kiwając w stronę budynku.

Karski zaczął się przysłuchiwać lecącym z tej strony odgłosom. Nawet jeden z kupców wysunął okazałą twarz z za płachty i spojrzał ciekawie.

— A co tam?

W tej właśnie chwili drzwi budynku otwarły się, wyskoczył z nich Damian, kiwnął na strażnika, coś mu szepnął, i znikli napowrót w szopie.

Karski zszedł na brzeg i podążył w tym kierunku. Spirydion biegł za nim o jakie pół kroku.

— Bo to, widzi pan, co się komu należy, to się należy!..—mruczał ciężko dysząc. — Byłbym dawno z nimi, lecz... moja rzecz,

literat zostanie zaatakowany ostro, czy to będzie p. Kaprys, czy Askenazy, natychmiast z tragicznym gestem woła: niebywała napaść! Niebywałą miała być ona również ze strony p. Brzozowskiego na Sienkiewicza, co rzeczywiście jest słusznem, ale o tyle, o ile autora „Trylogii" postawiono w wyjątkowych warunkach nietykalności. Wniósł on do naszego piśmiennictwa trzy rzeczy: wielki talent, wielką popularność i wielkie wymagania honoraryowe. Z uwielbień dla jego siły twórczej, z wdzięczności za dostarczenie zadowolenia artystycznego szerokim masom narodu i z interesu kupieckiego wypłynęła nietylko jego sława, ale rzeczywiście niebywała reklama. Jeżeli autor bierze kilka kopiejek od wiersza, można na nim coś zarobić bez znojnych zabiegów; ale jeżeli on dostaje kilka rubli za wiersz, trzeba jego prace otrębywać ciągle i na wszystkie strony. Nakładcy też starali się o to, ażeby ani jeden numer poczytnych dzienników nie ukazał się bez wzmianki o Sienkiewiczu. Jego nazwisko tak prześladowało czytelników, jak „Odol" lub „Bellarina." Podczas gdy wielu cennych utworów nie zaciągano nawet do regestrów bibliograficznych, najmniejszą notatkę najpodrzędniejszego dziennika zagranicznego o autorze „Quo vadis?" powtarzano skwapliwie. Zwycięzki rydwan bohatera otaczała gromada krzyczących barnumistów, istotną i zasłużoną chwałę zamieniano na humbug, a ze znakomitego artysty zrobiono słonia. Duszące dymy kadzidłowe rozpościerają się w każdej literaturze i w każdej czas prędzej lub później je rozwiewa, odsłaniając ich przedmiot dla bezstronnych sądów. W tym wypadku musiało to nastąpić prędzej. Naprzód bowiem reklama zbyt szybko i daleko przekroczyła granice chwalby. Nie poprzestano na wyniesieniu Sienkiewicza po nad największych geniuszów świata (Homera, Dantego, Shakespeare'a, Balzaka itd.), ale nawet po nad prawa krytyki. Wszystkie bez wyjątku jego prace uznane zostały za arcydzieła; najbłahszy, najpospolitszy jego aforyzm z wachlarza lub jednodniówki ogłaszano za nieporównaną z niczem perłę; najostrożniejszy zarzut dla niego wydrwiwano jako głupotę lub piętnowano jako bluźnierstwo, mianowano go jednocześnie monarchą i papieżem literatury. Nawet czemś więcej. Bogowie w niebie i mocarze ziemi mniej są zabezpieczeni od buntu przeciw ich władzy i nieomylności, niż on był w naszej prasie. Czasem tylko Piotr Chmielowski z bardzo umiarkowanem kacerstwem pozwalał sobie w ostatnich latach sądzić Jedynego, Wszechmocnego, Najwyższego. Nie była to już sława, nie była to cześć dla znakomitego pisarza, ale fanatyczne, bezmyślne, dzikie bałwochwalstwo, które zupełnie wyrzeka się godności własnego rozumu i poniewiera go w służalstwie. Czy ono mogło liczyć na to, że nigdy nie wywoła reakcyi? Nie mogło tem bardziej, że wyrządzało naszemu społeczeństwu wielką szkodę, a literaturze wielką krzywdę. Pomimo że beletrystyka polska stoi dziś w pierwszym rzędzie twórczości europejskiej, pomimo że w niej posiadamy liczne grono wspaniałych talentów, reklama zarówno wobec naszego ogółu, jak wobec zagranicy spychała ich na daleki plan, okrywała cieniem i redukowała całą polską literaturę piękną do Sienkiewicza. Na niego ściągano gwałtem uwagę swoich i obcych, z jego prac urządzano ciągle krzykliwą wystawę, lekkomyślnie i niesumiennie przedstawiając nasze piśmiennictwo uboższem, niż ono jest w istocie. Trzeba było zaiste takiej potęgi światła, jakiem błyszczą inne gwiazdy naszego firmamentu powieściowego, ażeby ich nie zaćmiono zupełnie tymi tumanami kurzawy panegirycznej, tymi nieustannymi obrzędami prawdziwie aztekowskiego kultu słońca. Osiągnięto jednak tyle, że społeczeństwo polskie długo, zbyt długo nie dostrzegało wielkości i blasku tych gwiazd, za długo nie przepuszczało do swego ducha ich promieni, nie czerpało uczuć z nowych krynic, pijąc ciągle z jednej poświęconej studni. I zagranica dopiero niedawno dowiedziała się, że my obok Sienkiewicza posiadamy inne prześliczne i oryginalne talenty. A przecież my powinniśmy je ukazywać jej nietylko jako przedmioty ciekawości i popisu, lecz także jako dowody życia, jako objawy geniuszu, jako racye bytu. Tam, gdzie prasa dba o rozwój swojskiego piśmiennictwa, gdzie uwagą i miłością otacza każdy świeży przyrost jego lwiąt, gdzie reporter nie zakrywa ich połą swego surduta — tam niema sztucznie wyciągniętych olbrzymów, którzy głową opierają się na jednym biegunie ziemi, a nogami na drugim. Chociaż słabo z odległym światem związani, w tydzień lub miesiąc po ukazaniu się jej znamy każdą nową siłę artystyczną w Anglii, Francyi, Niemczech, Skandynawii. Przed kilku zaledwie laty M. Gorkij zabłysnął w literaturze rosyjskiej — a dziś już istnieje osobna grupa pesymistów gorkowskich — w Japonii. Przeciwko temu monoteizmowi literackiemu, przeciwko temu zacieśnianiu i wtłaczaniu całej twórczości piśmienniczej w jednego człowieka musiał odezwać się protest.

Musiał on odezwać się z innego jeszcze względu. Sienkiewicz, artysta chłodny, spokojny, w urokach zewnętrznego piękna zatopiony, na wewnętrzne walki swego czasu obojętny, sławiący przeżytki swojskiej kultury, głoszący filozofię katechizmu, socyologię szlachetczyzny i etykę „dobrego zrozumienia interesu," on, będący duchem anachronistycznym, pomimo ogromnego talentu nie mógł zadowolić tych dziś już bardzo licznych żywiołów, które łakną głębokiej i swobodnej analizy życia, które niepowstrzymanym pędem rwą się ku ideałom przyszłości i znajdują dla siebie innych mistrzów. Dla tych ludzi autor arystokratycznego „Bez dogmatu," szlacheckiej trylogii, mieszczańskiej „Rodziny Połanieckich," klerykalnego „Quo vadis?" jest rzeczywiście „obcym." To mu powiedzieli „młodzi," gdy kierunek zmysłowo-erotyczny nazwał „rują i porubstwem," do tego mieli oni zupełne prawo i to sprowadziło na nich deszcz błotny. Za co?

Nawet w tym „sądzie nad hetmanem" nikt go nie skrzywdził, nikt nie obraził. Nie było do tego wcale powodu. Chociażby Sienkiewicza sprowadzono z obecnej podniebnej wyżyny, każdy musi przyznać, że jest on wielkim artystą i nie podlega żadnemu oskarżeniu moralnemu. Nie dowiedziono mu, ażeby kłamał, wypowiadał się szczerze, wydobywał ze swej duszy to, co w niej uznawał za najlepsze, kochał to, do czego biło jego serce, pisał tak, jak mu kazał talent, stworzył szereg dzieł pięknych, ogarnął swym wpływem cały naród aż do najniższych warstw i cały obszar inteligencyi aż do najdalszych krańców świata ucywilizowanego, nie dawał nawet złego przykładu bałwochwalstwa, bo największego współczesnego powieściopisarza Francyi, Zolę, cisnął w błoto i uważał go „za narodowe nieszczęście." Jest on więc w zupełnym porządku. Nieporządek zaczyna się dopiero od jego wielbicieli, którzy z człowieka zrobili boga, którzy bezwzględną dla niego cześć włączyli do obywatelskich przykazań, którzy hańbą piętnowali niezależną wobec niego krytykę, którzy tak rozdęli jego sławę, że stała się ona pęcherzem nieznoszącym ukłócia szpilką, którzy tak wyczulili na jego nietykalność opinię pu-

---

kucharska rzecz... ogniowa. Zatem [illegible] na warudze. Brodzić po wodzie nie będę, więc mi ani brodnie, ani onucze nie są do tego stopnia potrzebne.... Gdybym tam się znalazł, łatwo by mię spytali: ty tu po co? a gdzie pasport?.. Po co narażać się na zbyteczne pytania?... Powiedzą zaraz: burzyciel. A i to prawda, że jestem bitny i krewki... Gadać długo nie lubię! Raz, dwa, trzy... potem w zęby i dalej, jak się należy... Muszę się więc wystrzegać wszelkiego wzruszenia!...

Na drodze dopadł ich Leon, który biegł pospiesznie od strony miasta.

— Dzięki Bogu; jeszczeście nie odjechali! Spóźniłem się... Wczoraj wieczorem przyjechał Makary i całą noc przedyskutowaliśmy. Makary też chciał przyjść pożegnać się z tobą, ale usnął tak twardo, że go się dobudzić w żaden sposób nie mogłem... Wiesz co, Karski, zazdroszczę ci, że wracasz właśnie teraz do Europy, w taką ciekawą, przełomową chwilę... Ale dokąd tak się spieszysz?

— Awantura! Pytanie jeszcze, czy pojadę... Zdaje się, że zmowa... — odrzekł sucho Karski.

— Zmowa?... Tutaj zmo-wa-a? — przeciągnął zachwycony Leon. — Co ty mówisz? Gdzie?

Karski wskazał palcem szopę.

Gdy weszli, gwar przycichł. Strażnik wyprostował się, Damian opuścił wyciągniętą ku nieprzyjaciołom rękę. Robotników było dużo, znacznie więcej, niż ich najął Damian. Widocznie zebrali się na widowisko. Stali w głębi wzdłuż ścian, malowniczo oparci o siebie i co chwila wybuchali śmiechem. Na przedzie kupili się oryle Damiana.

— Zbliżcie się, panowie, zbliżcie; spójrzcie i wydrukujcie w gazetach, jak to krzywdzą nas biednych i bezbronnych ludzi!—zwrócił się patetycznie do Karskiego i Leona, obdarty włóczęga stojący na czele gromady. Był krępy, zwięzły, z twarzą czerwoną, z buremi, wesołemi oczami i dużym, sino-żyłkowanym nosem. Nad niskiem ale wypukłem czołem wichrzyła mu się strzecha rudych, gęstych włosów.

— Ta oto pijawka, żyd w kształcie człowieka, obiecał nam dwie pary brodni i cztery pary onuczy, a jak przyszło co do czego, to daje jeno parę obutek i połowę szmat... Nie, nic z tego, kozia twoja mać, istnieją prawa w naszem państwie... Rzucił brzydkiem, czteropiętrowem tak dziwacznem przekleństwem, że aż szopa zadrżała od śmiechu robotników.

— A nieprawda!.. A łżesz!.. Dam wszystko, nie odmawiam, ale... w połowie drogi, w Olokmie, bo teraz przepijecie... Boso nie będziecie chcieli iść... Znam was... Ty pierwszy na piasku się położysz, burzycielu, Indorze przeklęty!.. W złą godzinę spotkałem się z tobą. O dolo moja! Żebyś skisł, żebyś spłonął od gorzały, wstrętny opoju!.. — złościł się Damian.

— Bez wołania przyszedłbym bronić braci moich...—zimno odpowiadał Indor. — Dawaj obutki, niema co!.. A co zechcemy z niemi uczynić, to nasza rzecz: może dziewczynie swojej zechcę podarować, żeby sobie z cholewy uszyła... futerał, a może worek każę uszyć na pieniądze... Skąd ty możesz wiedzieć, czego wolna dusza pragnie? A nie chcesz, to pocałuj psa w nos, powiedz otwarcie i zostań z Bogiem!.. Matkę własną do łodzi wprzęż, Koźmę wprzęż... Gurana wprzęż i hajda!..

— Ty sobie gęby mną nie wycieraj! — obruszył się, ubrany dostatnio, na uboczu stojący, chłop sybirski.

— A bo to nie mam czem? — roześmiał się Indor, spoglądając szyderczo na tęgą, mięsistą figurę Gurana.

Słuchacze przywtórzyli mu wesoło.

— Otrząśnijcie, bracia, proch z nóg waszych i chodźcie... Już oni nam nic nie dadzą! Już ja to widzę. Rusz się, Obuchu!..—zwrócił się do siedzącego na stole rosłego blondyna o rysach regularnych i niebieskich oczach. Ten potoczył roześmianym

bliczną, że ona w najskromniejszem przeciw niemu wystąpieniu gotowa widzieć karygodne bluźnierstwo *). W takich warunkach i przy takim nastroju zupełnie naturalnym wypadkiem było zwrócenie polemiki w brudne kanały zniewag osobistych i ukoronowania ich bijatyką, ogłoszoną w pismach publicznych z przechwałkami, które rzeczywiście dotąd nie pokalały naszej prasy. Zamiast rozprawiać o Sienkiewiczu, o jego znaczeniu w literaturze i stosunku do nowych prądów, zaczęto wydrwiwać spodnie i buty przeciwników, szczypać się przygryzkami, obmazywać błotem i prześcigać w korzystaniu ze słownika szynków. Wreszcie odegrał się w cukierni między p. Rabskim z *Kuryera Warsz.* i p. Dawidem z *Głosu* policzkowo-kijowy epilog, na który lepiej rzućmy zasłonę. Za swoją rolę w tym epilogu p. Rabski otrzymał „317 biletów wizytowych“ i pochwałę „jednego z najznakomitszych historyków naszych.“ Wszystko tu zostało opowiedziane ze szczegółami w druku. Patrząc na to gorszące widowisko, nie chcemy wierzyć własnym oczom. Pytamy zdumieni: to ma być obraz obyczajowy z literatury? Dlaczego p. Rabski, obrażony jakoby przez p. Nowaczyńskiego, napadł p. Dawida? Co miało wyrażać owych 317 biletów i jakiem bohaterstwem zachwycał się „jeden z najznakomitszych historyków naszych“? Czy p. Rabski, który nie waży słów w polemice i śmiało rzuca najdotkliwsze, który włada piórem zręcznie i mocno, który nazajutrz może odeprzeć wszelki atak w dzienniku, czytanym przez setki tysięcy ludzi, był zmuszony posunąć się do brutalnej napaści na człowieka, który go bezpośrednio nie obraził, ciętym szermierzem pióra nie jest, a odbijać ciosy może tylko raz na tydzień w piśmie, czytanem przez szczupłe koło abonentów? To już nie rozprawa honorowa, nie przykra konieczność obrony, to coś, czego nie chcemy nazywać właściwem imieniem, ażeby nie pomnażać litanii brutalnych słów, odmawianej w tym wstrętnym zatargu, to jest coś, czego nawet zawieszona na kiju chorągiewka z napisem: „za Sienkiewicza“ uszlachetnić nie może i do czego on sam musi czuć odrazę.

Achilles tej błotnej walki poprostu nie może pojąć, ażeby jego przeciwnicy i wogóle „demagodzy“ mogli mieć inne pobudki, niż zawiść o lepsze odzianie skóry i nakarmienie żołądka. Jest to *sui generis* daltonizm. Co do nas, to buty, spodnie, prywatne zboczenia młodej drużyny, które p. Rabski z takiem upodobaniem obnosi i roztrząsa na swych widłach, nic nas nie obchodzą; pomijamy również jej naiwną przesadę, popełniającą grzech w przeciwnikach karcony a głoszącą, że „Przybyszewski to zjawisko dumne, złowieszcze i krwawe, znak zapytania nad całem ludzkiem życiem zawieszony, błyskawica, odwieczne przepaści niepojętej grozy rozświetlająca,“ bo są to drobiazgi lub śmieszności niedotyczące rdzenia rzeczy. Tym rdzeniem jest oświadczenie pewnej grupy ludzi, że ukanonizowany pisarz nie jest dla nich ewangelistą, że oni względem niego, względem wszelkich powag i zdogmatyzowanych pewników chcą zachować prawo swobodnej krytyki, że widzą brzask nowego świata. Taki świeży potok, choćby był płytki i kręty, choćby toczył się z pianą, choćby nie znał swego ujścia, nie powinien być tamowany. Niech płynie: jeśli go zasila obfite źródło i znajdzie dopływy — rozrośnie się w rzekę, jeśli nie — wyschnie. W każdym razie nikomu nie wolno go plugawić.

ad.

*) Ani wystąpienie p. Brzozowskiego, ani znieważanie podobnej śmiałości nie jest nowem. Gdy *Prawda* w r. 1900 podczas jubileuszu Sienkiewicza zaznaczyła, że on „żywiołom demokratycznym po za zadowoleniem estetycznem nic nie dał,“ *Słowo* podsunęło tej uwadze pobudkę osobistej zawiści. Ci ludzie nie są zdolni do odczucia innych motywów. *Red.*

Z nad Warty i Odry.

Walne zebranie przedwyborcze w Poznaniu. — Sprawozdanie posła Chrzanowskiego. — Widoki w okręgu poznańskim. — Rezolucya antykatolikowska. — Konserwatyści przeciwko *Katolikowi*. — Ugoda w Westfalii i Nadrenii. — Z Mazowsza pruskiego.

Dotychczas ruch przedwyborczy najsilniej się rozwijał w Prusach Zachodnich i na Górnym Śląsku, obecnie ruszyło i Poznańskie, a gazety codziennie donoszą o odbywających się w coraz to innych miejscowościach zebraniach wyborców i komitetów wyborczych. Bardzo ciekawem było walne zgromadzenie przedwyborcze na miasto Poznań ze względu na sprawozdanie poselskie p. Bernarda Chrzanowskiego. P. Chrzanowski jest jednym z najwybitniejszych członków Koła Polskiego i reprezentuje w niem kierunek narodowo-radykalny. Należał on w swoim czasie do kierowników *Przeglądu Poznańskiego*, przez czas jakiś nie brał żywszego udziału w życiu publicznem, w końcu zaś, kiedy i na gruncie dzielnic pruskich począł się formować obóz narodowo-demokratyczny, stanął w jego szeregach, jakkolwiek z pewną powściągliwością. Ludowcy poznańscy, których organem jest *Orędownik* p. Szymańskiego, uważali go za swego, co mu umożliwiło zdobycie mandatu poselskiego do parlamentu. Jako poseł miasta Poznania p. Chrzanowski musiał się liczyć z przewagą żywiołów ludowych stolicy prowincyi, przez co dość często popadał w starcie z nastrojem większości Koła. Jako dobry mówca i gorący narodowiec p. Chrzanowski pierwszy wprowadził do dyskusyi parlamentarnej ten ton ostry, opozycyjny, który dotychczas nie rozlegał się z ław posłów polskich. Stanowisko p. Chrzanowskiego w różnych sprawach — takich np. jak cła zbożowe, jak solidarność Koła itd. narobiło mu dużo wrogów w sferach konserwatywnych, które usilnie szerzyły pogłoski, że p. Chrzanowski ponownie mandatu nie przyjmie, co było jedynie pobożnem życzeniem obozu konserwatywnego.

Walne zebranie przedwyborcze m. Poznania odbyło się w wielkiej sali bazarowej, którą wypełnili po brzegi przeważnie rzemieślnicy i robotnicy miejscowi. Po załatwieniu formalności wstępnych przewodniczący udzielił głosu p. Chrzanowskiemu, który złożył sprawozdanie ze swej działalności. Zaznaczył przedewszystkiem, że, chcąc dać dokładny obraz swej działalności, musi scharakteryzować bodaj pobieżnie czynność całego Koła Polskiego w parlamencie, podnosząc swoje wystąpienia przy rozmaitych sprawach. Poruszył więc przedewszystkiem sprawę nowej taryfy celnej, nakładającej na ludność pracującą tak niesłychanie wielkie ciężary. Oświadczył, że osobiście jest przeciwnikiem ceł, ale nie mógł głosować przeciwko nim ze względu na solidarność, wiążącą wszystkich członków Koła, posiadającego większość junkierską. Poseł Chrzanowski bronił się energicznie wobec zarzutów prasy robotniczej, jakoby popełnił zdradę interesów większości swych wyborców. Zapewniał, że gorąco starał się wpływać na innych posłów polskich, aby nawrócić ich do swych zapatrywań, ale starania te naturalnie żadnego

---

wzrokiem po obecnych, lecz nie kwapił się do wyjścia.

— Nie słuchajcie go, chłopcy!.. Miejcie rozum... Czy to pierwszy raz pływacie?.. Są tu przecie tacy, co już ze mną chadzali... Naprzykład... Spirydyon, albo ty, Wiarusie... poświadczcie!.. Dam wszystko, ale na pierwszej dopiero wyspie!.. Tutaj nic dać nie mogę. Już i tak przepiliście połowę zarobku. Gdy przepijecie wszystko, gdzie was będę szukał? Stracicie wszelką do roboty ochotę, jak nic już do odebrania za nią nie zostanie!.. Wniknijcie i w moje położenie! — dowodził pojednawczo Damian.

— A co, bracia! na wyspie to się może i zgodzić!.. Niech da wszystko na wyspie, a teraz... po dziesiątce na głowę, albo po pół kwaterku i w drogę! — krzyknął piskliwie wysoki, szary i wyliniały, z długą szyją i wystającym kadykiem robotnik.

— Niech da po pietnaście kopiejek! — podpowiedział stojący obok niego równie szary i pomięty oryl.

— Szpanka! Żygany! Podła kobyła!.. *) Wybyście i Chrystusa za grosz sprzedali, bo srebrnik wam za dużo!..— splunął w ich stronę Indor.—Wierzcie mu, słodko-głosemu słowikowi! — zwrócił się w głąb szopy. — Wywiedzie was jak Mojżesz na puszczę i będziecie musieli tańczyć, jak zagwiżdże. Nie znacie żółtobrzuchych czełdonów?.. *) Przed robotą łydki lizać wam gotowi, a po skończonej potrzebie w odmęcie was dla starych onucz utopią... Słyszana rzecz, żeby kto od nich z pieniędzmi odszedł? Nawet ten, co z pieniędzmi przyjdzie, goły odejdzie!..

— Oj, ludzie! Nie słuchajcie go pustomieli — bałałajkina! Toć przecie tam na rzece cała łódź w waszej będzie mocy... Czy mógłbym, nawet gdybym chciał, nie dotrzymać wam słowa... Nie na wiatr daję obietnicę, lecz aby ją spełnić!.. Nie pierwszy i nie ostatni rok tutaj się znajduję, nie z wiatru jestem, a z nad rzeki!... Zgódźcie się — przekładał Damian.

— Zresztą dla pewności i ja mogę z wami do pierwszej wyspy pojechać! — wstawił politycznie strażnik.

Ale obecni pominęli propozycyę milczeniem; nawet Damianowi widocznie nie przypadła ona do smaku. Natomiast zwrócił [illegible]orąco o poparcie do Karskiego i Leona. Źle jednak trafił, gdyż Leon bardzo poważnie mu odpowiedział:

— Nie, nie mogę was podtrzymać!.. Oni mają racyę. Bo że w Europie robotnicy kredytują pracodawców, to nie widzę w tem nic dobrego i nie wiem, dlaczegoby robotnicy mieli i tutaj zwyczaj ten wprowadzić, skoro istnieje dla nich dogodniejszy...

— A widzicie, chłopcy!.. Chodźcie użyć kredytu gdzieindziej!.. A może i pan z nami pójdzie, dobre paniątko!.. — zapraszał Indor.

Wśród robotników wszczął się gwar i ruch; niektórzy sunęli do wyjścia, ale tam stał Damian z rozpostartemi rękami i krzyczał:

— Oddajcie zadatek!.. Panie strażniku, nie puszczaj ich pan!..

— Ho! ho!.. A jakże!.. Dawaj obutki!.. Tyś zerwał umowę, a nie my!..— krzyczeli robotnicy, napierając coraz tłumniej. W tyle gwizdano, miauczono, gdakano. Ktoś udawał płaczące niemowlę, inny — piejącego koguta...

(C. d. n.)

*) Pogardliwe przezwiska, dawane w więzieniach sybirskich drobnym złodziejom, oszustom, graczom, całej czerni zbrodniczej, za którą arystokracyę uważani są włóczęgy, mordercy, rozbójnicy, spirytonosi fałszerze pieniędzy.

**) Przezwisko dawane przez włóczęgów i osiedleńców chłopom sybirskim.

skutku nie odniosły. Jakolwiek p. Chrzanowski nie był z powodu choroby na głosowaniu decydującem w sprawie ceł, to jednak odczuwał widocznie całą nienormalność położenia, wytworzoną dla posłów bardziej postępowych przez Koło. Dlatego też poruszył myśl, czyby nie było dobrze, aby w wyjątkowych wypadkach, gdy chodzi o interesy ekonomiczne warstw drobnomieszczańskich i robotniczych, Koło odstąpiło od tradycyjnej solidarności, pozwalając poszczególnym posłom głosować według osobistego przekonania.

Dalej poseł mówił o prawie ochrony dzieci, pracujących w fabrykach i warsztatach, o projekcie reformy kasy chorych i dziwił się, że w tych sprawach bardzo mało wyborców zgłosiło się do niego z życzeniami i informacyami. Zdziwienie to tchnie niemałą naiwnością, gdyż sfery, bezpośrednio temi sprawami zainteresowane, nie mogą uważać członka Koła nawskroś reakcyjnego za swego przedstawiciela i zwracają się do posłów ze skrajnej lewicy, hołdujących całkiem odmiennej „solidarności,“ niż ta, którą p. Chrzanowski musiał uprawiać w charakterze członka Koła.

Przy omawianiu spraw narodowych mówca zaznaczył, że właściwą kuźnią praw przeciwko Polakom jest nie parlament, lecz sejm pruski, dlatego też sprawy polskie mogą być wytoczone przed forum parlamentu bardzo rzadko i to prawie tylko podstępem. Zarzucono Kołu polskiemu, że brzmienie interpelacyi wrzesińskiej było nieodpowiednie i za chłodne. Na to wyjaśnić należy, że centrum, którego podpisy rozstrzygały o losie interpelacyi, nie chciało się zgodzić na jej ton energiczniejszy. P. Chrzanowski nie może nie rozumieć, że właśnie fatalny sojusz reakcyonistów z Koła z reakcyonistami klubu katolickiego pozbawia posłów polskich możności godnego wystąpienia wobec rządu i hakatystów; a jednak broni tego bezcelowego sojuszu, utrzymując, że samo brzmienie interpelacyi było zbyt błahym powodem, aby dla niego zrywać z centrum i ubiegać się o podpisy jakiegoś stronnictwa z lewicy.

Wprzągłszy się raz do taczki Koła p. Chrzanowski musi bronić taktyki tego klubu — i nietylko taktyki ogólnej, ale i tego np., że posłowie w Kole nic nie robią, a w parlamencie milczą, jak zaklęci. W końcu p. Chrzanowski poświęcił kilka słów własnej działalności i poglądom na przyszłość. Stwierdził, że w prasie poznańskiej robiono mu zarzuty z tego, że wprowadził ostry ton do przemówień parlamentarnych, ale oświadczył, że czas już porzucić skargi i żale, a dotychczasowe stanowisko obywateli niższych pokornych zmienić na stanowisko obywateli niezadowolonych. Swoje p. Chrzanowski streścił w ten sposób: całą mą pracę pragnę poświęcić warstwom niższym, robotniczym ponieważ uważam je za rdzeń narodu i jestem przekonany, że do nich przyszłość należy. Zaznaczam dalej moją przynależność do całego narodu polskiego, przyczem jednak nie godzę się na politykę narodowej demokracyi galicyjskiej. Chociaż osoba pana Kulerskiego nie jest mi sympatyczną, a dokonane przez niego dzieło uświadomienia ludu polskiego powstało bezwiednie lub w interesie osobistym, nie oponowałbym nigdy przeciwko jego kandydaturze, ponieważ jest ona życzeniem ludu. W końcu p. Chrzanowski skarcił sposób zwalczania prądów skrajnych społecznie przez prasę, zwłaszcza *Orędownika*, uważając przedstawicieli tych kierunków za wrogów, ale wrogów szlachetnych.

Po skończonem sprawozdaniu poselskiem różni mówcy zabierali głos w dyskusyi nad niem. P. Rzepecki wykazywał na podstawie statystyki, że liczba polskich głosów stale się zwiększa. Kiedy bowiem w r. 1871 przy wyborach do pierwszego parlamentu oddano w Księstwie 174,000 głosów polskich, to przy ostatnich wyborach naliczono ich przeszło 240,000. Przy sprężystej agitacyi spodziewać się można w tym roku około 300,000. W okręgu poznańskim p. Chrzanowski otrzymał przed dwoma laty 15½ tysięca, a kandydat wszystkich Niemców i Żydów, Witting — 9½ tysiąca. Jest więc nadzieja, że w okręgu poznańskim mandatu Niemcy nie wydrą. P. Krupowski podniósł, że w liczbie głosów, oddanych na Wittinga, było co najmniej 2,000 polskich. Stało się to skutkiem teroryzmu dziedziców niemieckich w powiatach poznańskich, którzy gromadnie prowadzili lud polski do urny wyborczej, zmuszając go do głosowania na kandydata Niemców. Apelował więc do komitetu, aby organizował jak najwięcej wieców po wsiach i pouczał włościan, by nie głosowali na kandydata niemieckiego.

Walne zebranie zakończyło się uchwaleniem posłowi Chrzanowskiem votum zaufania i ponownem postawieniem jego kandydatury. Ponieważ na zebraniu tem przeważało drobnomieszczaństwo wraz z robotnikami, przeto poznańscy demokraci narodowi postanowili skorzystać ze sposobności i przeprzeć rezolucyę, która w innych warunkach nie mogłaby liczyć żadną miarą na przyjęcie. Oto p. Rydlewski zaproponował wyrażenie gorącego uznania dla dotychczasowego działania Towarzystwa wyborczego na Górnym Śląsku i surowego potępienia polityki, obstającej przy uzależnieniu ludu polskiego od stronnictw niemieckich!

Rezolucya tak zaskoczyła komitet wyborczy, że na razie nie wiedział, co z tym fantem robić. Po dość kłopotliwem milczeniu zabrało głos paru członków jego. Starali się oni wytłomaczyć zebranym, że nie należy mieszać się do spraw Górnego Śląska, że *Katolik*, bądź co bądź, ma pewne zasługi, próbowali nawet straszyć zebranych, że uchwalenie przedłożonej rezolucyi wzmocni argumenty hakatystów o agitacyi wielkopolskiej. Rezolucya została jednak przyjęta olbrzymią większością głosów, a kontr-próba jeszcze wymowniej stwierdziła nastrój wrogi dla polityki *Katolika*.

Uchwalenie tej rezolucyi wywołało prawdziwą konsternacyę w obozie konserwatywno-klerykalnym. Przebąkiwano nawet o potrzebie zwołania specyalnego zebrania, potępiającego ową rezolucyę. Swoją drogą nawet i prasa konserwatywna poczyna przychodzić do przekonania, że postępowanie *Katolika* i jej redaktora jest błędne i niestosowne. Świeżo *Dziennik Poznański* zamieścił list pod tytułem „Ratujcie sprawę górnośląską!“ Autor tego listu nie staje na stanowisku *Górnoślązaka*, tem nie mniej zwala całą winę możliwej klęski w Górnym Śląsku na p. Napieralskiego: „Rumieniec oburzenia występuje na twarz prawemu Polakowi na myśl, jak p. Napieralski swem krótkowidztwem i niedołęztwem politycznem mógł dopuścić do tego, by centrum skakało po *Katoliku*, jak koza po pochyłem drzewie?! Czy postawienie kandydatury hr. Ballestrema w okręgu polskim stałoby się możliwem, gdyby p. Napieralski był—jak tego wymagał honor narodowy—pokazał stronnictwu centrowemu niezłomny hart woli i ducha, gdy takowe na miejsce bardzo życzliwego ludowi polskiemu ks. Kapicy postawiło na nowo p. Letochę, tego samego, któremu *Katolik* przed dwoma laty dawał krzyż na drogę, gdy oświadczył, że nie ma zamiaru kandydować więcej? Czy byłoby to możliwe, gdyby p. Napieralski był zaprotestował przeciwko poniewolnemu—i do tego bez jego wiedzy—przeniesieniu kandydatury jedynego Polaka, p. Królika — którego od centrum uzyskał — do innego okręgu?“ Autor listu radzi więc dla zażegnania klęski takie wyjście: „*Górnoślązak* niech się zrzecze hasła: „precz z centrum!“, a domaga się tylko kandydatów centrowych *Polaków*, *Katolik* zaś niech zdobędzie od centrum zgodę na kandydatów *Górnoślązaka*.“ Rada bardzo naiwna i nienadająca się zupełnie do wykonania, ale świadcząca wymownie, że p. Napieralski nawet w kołach konserwatywnych traci wszelkie zaufanie jako człowiek, oddany zupełnie centrum — temu samemu centrum, które wszędzie wśród ludności polskiej budzi protesty swem obłudnem zachowywaniem się względem Polaków.

Tak w Westfalii i Nadrenii przyszło do zupełnego zerwania Polaków z komitetem centrowym. Polacy postawili centrowcom następujące warunki w zamian za głosy polskie dla kandydatów centrum:

I) Stronnictwo centrowe zrzeka się swoich kandydatów w Prusach Wschodnich (z wyjątkiem Brunsbergu), w Prusach Zachodnich, na Pomorzu Wschodniem, w W. Księstwie Poznańskiem i na Górnym Śląsku, obowiązując się oficyalnie i publicznie przez gazety wezwać katolików niemieckich, aby kandydatury polskie popierali.

II) Stronnictwo centrowe postara się u władz biskupich o następujące rozporządzenie, aby... (tu następuje długi szereg żądań, dotyczących nabożeństw i kazań polskich).

III) Przywódcy stronnictwa centrowego postarają się o to, aby duchowieństwo zaniechało germanizacyi Polaków przez niemieckie towarzystwa kościelne i rozszerzanie pism niemieckich w rodzinach polskich.

IV) Frakcya centrowa sejmu pruskiego wniesie natychmiast o odwołanie rozporządzenia językowego dla górnictwa, jak i zakazu mówienia po polsku na zebraniach, szczególniej w powiecie Bochumskim.

Warunki te odczytano na wspólnem zebraniu delegatów polskich i komitetu centrowego. Prezes tego ostatniego nazwał je „sutym jadłospisem“ (Da haben wir den langen Speisezettel) i oświadczył, że takich warunków przecież przyjąć niepodobna. Delegaci polscy odpowiedzieli, że gdyby partya centrowa chciała, toby mogła je przyjąć. W dyskusyi posypały się z polskiej strony zarzuty pod adresem centrum: że pośrednio przyczyniło się do pomnożenia milionów na komisyę kolonizacyjną, że w swych podrzędniejszych gazetach traktuje Polaków, jak hakatyści, że działa obłudnie względem Polaków itd.

Ze strony stronnictwa centrum przemawiali jego przywódcy — Lensing, Zoechtermann, Münstermann i inni. Dowodzili oni, że Polacy, jako katolicy, powinni popierać centrowców w ich ciężkiej walce z wrogiem religii katolickiej, liberałami i socyalistami. Przekonywali Polaków, że komitety centrowe na zachodzie nie mogą wpływać na komitety na wschodzie; tamby je wyśmiano, gdyby im stąd zrobiono propozycyę zrzeczenia się kandydatur na Górnym Śląsku.

Wobec tego delegaci polscy opuścili salę obrad, przeprowadzani drwinami, że agitacya polska zrobi fiasko i kandydat polski, p. Chociszewski otrzyma chyba ósmą część głosów polskich.

I z zapomnianego Mazowsza pruskiego dochodzi wiadomość, że lud polski pozbawiony zupełnie przewodników z inteligencyi, nawet jedynego organu (*Gazeta Ludowa* w Ełku upadła, jak wiadomo) szykuje się do preparcia własnego kandydata. Ukazała się mianowicie odezwa związku wyborczego mazurskiej partyi ludowej na obwód Szczytno-Ządźbarki, polecająca kandydaturę p. Zenona Lewandowskiego z Poznania. P. Lewandowski otrzymał w r. 1898 przeszło 6,000 głosów, to też przy pewnym wysiłku mógłby być w tym roku wybrany. Niestety, fanatyzm katolicki nie pozwala społeczeństwu poznańskiemu zająć się energiczniej uświadomieniem narodowem lud-

ności mazurskiej, która jest protestancką. Przy energicznej agitacyi możnaby na Mazowszu pruskiem zdobyć parę mandatów.

Pośrednik.

NARADY

nad hygieną mniejszych miast i wsi

na wystawie hygienicznej.

Zabiegi o uzdrowotnienie mniejszych miast i wsi naszego kraju już od dłuższego czasu były przedmiotem troski sfer kompetentnych. W samej rzeczy na tem polu jest bardzo wiele do zrobienia. Włościanin nasz, na każdym kroku popełnia ciężkie grzechy przeciw najprostszym zasadom hygieny: buduje sobie chatę w ten sposób, że niema możności przewietrzania jej, hoduje trzodę tuż przy izbie mieszkalnej, kąpie się tylko za młodych lat, oczywiście jedynie podczas lata, w czasie choroby nie zasięga prawie wcale porady lekarza, chętnie natomiast oddaje się na pastwę przeróżnym szarlatanom itp. Wcale nie lepiej dzieje się po miasteczkach, pozbawionych dobrej wody do picia, tonących w błocie i wszelkiego rodzaju nieczystości.

Lekarze i wogóle inteligencya, mieszkająca na prowincyi, najlepiej może ocenić te wszystkie braki, wskazać potrzeby i wymyślić sposoby usunięcia zła. Oczywiście jest to praca mudna, wymagająca czasu dłuższego i energii niepośledniej.

Do tej pory owoce jej przedstawiają się w postaci danych statystycznych zbieranych przez niektórych lekarzy prowincyonalnych, obserwacyj ściślejszych nad warunkami bytu włościan, tu i owdzie zbudowanych łaźni publicznych, wystawionej chaty włościańskiej wzorowej itd. Nagromadzony już materyał domaga się usystematyzowania, szerszego omówienia oraz — skrystalizowania w czyn.

Do tego celu właśnie prowadzić ma pierwszy zjazd hygienistów prowincyonalnych, otworzony dzięki zabiegom dr. Polaka przy warszawskiem Towarzystwie hygienicznem. Jest on urzeczywistnieniem myśli rzuconej przez dr. Jaworskiego podczas II-ej wystawy hygienicznej w Warszawie. W zjeździe tym, prócz lekarzy biorą udział inżenierowie, budowniczy i wogóle osoby interesujące się zdrowiem ludu.

Działalność zjazdu podzielono na 5 sekcyj, mianowicie:

1) Kanalizacya, zaopatrzenie w wodę, kąpiele ludowe.

2) Budownictwo i urządzenia publiczne (domy, szkoły, przytułki, szpitale, łaźnie, rzeźnie, cmentarze, bruki).

3) Pomoc lekarska (szczepienie, położnictwo, choroby zakaźne).

4) Statystyka i meteorologia.

5) Hygiena wychowawcza, oraz odzież i odżywianie się ludu.

Dnia 27 b. m. w gmachu warszawskiego Muzeum przemysłu i handlu odbyło się pierwsze posiedzenie wzmiankowanych narad.

Pierwszy odczytał swój referat dr. Chełchowski „O zadaniach Towarzystwa hygienicznego pod względem hygieny ludu.“ Praca ta w streszczeniu przedstawia się w sposób następujący:

Do tej pory większość działalności Towarzystwa sprowadzała się do pracy nad uzdrowotnieniem Warszawy, jako wielkiego miasta. Najtrudniejszem jest zadanie wobec ludności fabrycznej, gdyż wielki przemysł, rozwijając się coraz bardziej, wytwarza wciąż nowe i niezbadane jeszcze warunki bytu robotnika, co utrudnia obserwacyę, z pod której zresztą i fabrykanci starają się usunąć w obawie nowych zobowiązań, połączonych z nowymi wydatkami; mają oni swoich inspektorów fabrycznych i nie odczuwają potrzeby innych głosów doradczych. Chąc działać w tym kierunku winniśmy zyskać sobie przychylność fabrykantów, którzy w końcu pojmą może, że światła rada hygienistów korzystną dla nich będzie. Nie mniej wielkie zadania mamy wobec ludności, zamieszkającej prowincyę. Tyczy się to przedewszystkiem małych miasteczek i osad, gdzie na każdym kroku napotykamy rażące wykroczenia przeciw najelementarniejszym zasadom hygieny. Trudno w tym kierunku wskazywać jakiś plan postępowania; poprostu należy działać, gdzie się da i robić, co tylko można. Brak mocy wykonawczej i środków materyalnych nie powinien nas zrażać: same już rozprawy teoretyczne muszą dużo dobrego zrobić, uświadamiając osoby, od których bezpośrednio zależy poprawa złego. — Z pośród całego szeregu kwestyi palących należałoby przedewszystkiem zwrócić uwagę na następujące: Życie ogółu żydowskiego i ich przepisy rytualne dopominają się zmian gruntownych; wiadomo dobrze, ile szkody przynosi zdrowiu obrządek obrzezania, obchodzenie się z umarłymi (domy przedpogrzebowe) itd. Nad utrzymaniem czystości ciała śród ludu wiejskiego debatowano wiele i robiono próbę niejedną; ostatecznie doświadczenie przekonało, że stawiano wymagania zbyt wielkie, zbyt odskakujące od panujących zwyczajów i dlatego nic prawie nie osiągnięto. Urządzanie w wielu miejscach kąpieli i łaźni nie dało pożądanego rezultatu, gdyż chłopi nie przychodzili się kąpać i po dawnemu zmywali sobie twarze, plując w dłonie wodę, zaczerpniętą w usta; winniśmy przeto działać przedewszystkiem na młodzież i dziatwę, której łatwiej wpoić nowe zasady, wybierając do prób zawsze okolice bardziej oświecone i zamożniejsze. Ulepszenie chat włościańskich jest sprawą niemniej ważną i — względnie łatwiejszą do wykonania; włościanin chętnie zastosuje się do naszych wskazówek, gdy mu damy sposób budowania domu z materyału tańszego, trwalszego, zabezpieczającego od chłodu w porze zimowej i od gorąca latem. W takiej chacie winniśmy żądać, by jedna izba przeznaczona była tylko dla jednej rodziny, by trzoda miała pomieszczenie odzielne, okna były bezwarunkowo na zawiasach i z lufcikami. Sprawą tą powinna się zająć Sekcya Rolna przy poparciu pism ludowych.

Odżywianie ludu również wiele pozostawia do życzenia; należałoby pomyśleć o szkołach kucharskich (dla inteligencyi wiejskiej, skąd nauka przedostałaby się i pod strzechy) i odpowiednim wyborze produktów spożywczych; na szersze niż obecnie zastosowanie zasługuje przedewszystkiem groch, który dziś niema jeszcze większego znaczenia, gdyż włościanin nie umie go nietylko hodować, lecz i przyrządzać należycie. Co się tyczy ubiorów stanowczo należy oddać pierwszeństwo ludowym przed miejskimi, które są nietrwałe, niewygodne przy pracy i często zawierają przeróżne zarazki, gdy idą na sprzedaż już używane. O dzieciach wiejskich do tej pory nie myślano prawie wcale: w każdem większem zbiorowisku ludzi winna być ochrona; w ten sposób podniósłby się poziom moralności, nie miewalibyśmy tak często pożarów nieconych przez dzieci, pozostawione w domu bez opieki starszych itd.

Wielkie znaczenie ma sprawa pomocy lekarskiej dla ludu; urzędowy projekt tej pomocy na prowincyi winien być krytycznie rozważony. Rozpanoszony wszędzie alkoholizm wymaga walki energicznej; najważniejszą bronią przeciw niemu będzie zupełna wstrzemięźliwość; w tym celu zdałyby się liczne specyalne towarzystwa. To samo da się powiedzieć o nałogu palenia, karciarstwie i hazardzie.

Do osiągnięcia powyższych celów potrzebny jest współudział bardziej oświeconych włościan, nauczycieli ludowych i duchowieństwa.

Z kolei dr. Hewelke mówił „O nadzorze sanitarnym obywatelskim.“

Hygiena publiczna należy właściwie do państwa; *de facto* jednak warunki życia i wymagania nauki zmieniają się tak szybko, że tego rodzaju dozór nie może być wystarczający; przytem władze policyjne, w których ręku spoczywa moc wykonawcza, nie są należycie przygotowane do pełnienia podobnego zadania i nie potrafią wniknąć w istotę rzeczy. To też w Cesarstwie niektóre miasta (Moskwa, Petersburg i Odesa) zdobyły czynny udział obywatelski w sprawie hygieny publicznej. Odeskie „Kuratoryum zdrowia“ i „Komisya sanitarna,“ podzieliwszy miasto na rewiry, uświadamiają ich mieszkańców co do wymagań hygieny, doglądają porządku w instytucyach użytku publicznego (hotele, fabryki, kąpiele, zakłady fabryczne itd.), dopomagają lekarzom w walce z chorobami zakaźnemi. Zauważywszy przekroczenie, członek kuratoryum zwraca się bezpośrednio do osoby, od której zależy poprawienie złego. Gdy przekroczenia wynikają nie ze złej woli, lecz z braku środków materyalnych, z nędzy, członek ma do rozporządzenia fundusze czerpane z ofiar dobrowolnych, na ten cel przeznaczonych. U nas do tej pory dzieje się zupełnie inaczej: Towarzystwo hygieniczne trzyma się prawie wyłącznie w granicach popularyzacyi teoretycznej. Czas już przejść do działalności praktycznej, dopomina się tego moc wielka wykroczeń przeciw hygienie, napotykanych na każdym kroku. W tym celu winniśmy się starać o szerszą organizacyę, tj. zmiany w ustawie, któreby nam pozwoliły działać. Pewne podobieństwo możnaby tu przeprowadzić z Tow. op. nad zwierzętami, które posiada moc wykonawczą w pełnieniu swych zadań przy udziale władz policyjnych. Plan działalności Towarzystwa byłby następujący: miasto dzieli się na rewiry sanitarne, każdy rewir ma swego opiekuna, który przestrzega porządku sanitarnego. Na prowincyi podobną czynność możnaby powierzać mieszkającym tam członkom Towarzystwa. Istnieją wprawdzie komisye sanitarne, gminne, zwoływane od czasu do czasu przez wójtów, lecz działalność ich nie ma żadnego znaczenia praktycznego.

Dalsze obrady dały nam referaty w sprawie: 1) potrzeb sanitarnych naszych miasteczek wogóle; 2) wartości dzisiejszej chaty wiejskiej, oraz ideału, do którego włościanin dążyć winien; 3) pomocy akuszeryjnej i ginekologicznej na wsi, wreszcie 4) rozprawy co do szczepień i surowic leczniczych.

W krótkości podamy tu treść niektórych znaczenia ogólniejszego.

Lekarze: Klarner (z Bełżyc), Grodecki (z Kowna) i Michałowski (z Żelechowa) powstawali jednogłośnie przeciw niemożliwemu brudowi urządzeń małomiasteczkowych i strasznemu niechlujstwu mieszkańców — przedewszystkiem Żydów. Rzeźnie ohydne i ciasne, piekarnie czynne w brudnej izbie mieszkalnej, gnojówki w pośrodku ulic, ciasnota, brak łaźni i ustępów — oto najważniejsze wady naszych miasteczek, wady powtarzające się wszędzie ze stereotypową niemal ścisłością. Łatwo więc odpowiedzieć, czego potrzeba naszym mieścinom: dobrych rzeźni, bruków, ścieków, ustępów, studni, kąpieli publicznych, sumiennego dozoru lekarskiego (szczepienie ospy, zapobieganie chorobom zakaźnym, leczenie chorych w szpitalu). Daleko trudniej dociec, jaką drogą dadzą się przeprowadzić te ulepszenia. Bez wątpienia w wielu razach na przeszkodzie staje brak środ-

ków materyalnych; często jedynym funduszem osady lub miasta jest odszkodowanie za zniesienie szynków. Lecz istota rzeczy polega na braku odpowiedniego dozoru i najelementarniejszych pojęć o tem, co jest zdrowe, a co niezdrowe. Zwłaszcza Żydzi na prowincyi tak już się zrośli z brudem i niechlujstwem, że uważają jedno i drugie za najnaturalniejszy porządek rzeczy. Istnieją, co prawda, t. zw. komitety sanitarne, założone jeszcze za czasów ostatniej cholery, lecz niestety zapomniały one zupełnie o swem przeznaczeniu, a działalność ich sprowadza się do zera; pozostaje przeto tylko droga samopomocy. Należy w tym celu podnieść poziom oświaty prowincyonalnej, obznajmiać z hygieną w szkołach, wydawać pisma ludowe z tym kierunkiem, książki, urządzać pogadanki. Wiele liczyć trzeba na dobrą wolę inteligencyi małomiasteczkowej, która oczywiście przedewszystkiem sama winna się zapoznać z zasadami hygieny. Po za tem każdy powiat mógłby mieć specyalnego lekarza-hygienistę i komisyę sanitarną, której działalnością kierowałoby warszawskie Towarzystwo hygieniczne lub jego oddziały prowincyonalne.

W sprawie chaty włościańskiej p. Rakowiecki przedstawił wyniki ankiety, z której okazuje się, że zaledwie każda siódma chata ma dość powietrza i każda dziewiąta dosyć światła. Sądzi on, że jako materyał budowlany najlepiej nadaje się piasek z wapnem i glina (surówka); należałoby wypróbować te dwa rodzaje budynków.

Dr. Dobrzycki przedstawił opracowany przez siebie typ chaty hygienicznej: sień ma być ślepa, dwie izby obowiązkowo (podzielone ścianą niesięgającą do sufitu, a to dla utrzymania równomiernej ciepłoty w obu izbach) i piwnica murowana do przechowywania produktów spożywczych, podłoga drewniana, okna podwójne, na zawiasach. Ustęp ma się znajdować po za budynkami, zwrócony na północ, z dołem wycembrowanym, w którym prócz ekskrementów ludzkich winien być składany i nawóz; dodanie do tego niewielkiej ilości piasku zapewnia zupełną bezwonność; otrzymany tą drogą kompost odda wielkie usługi rolnictwu. Materyał budowlany z natury rzeczy musi być różny, zależnie od warunków miejscowych.

Uczestnicy narad zwracają uwagę, iż trzeba doskonale opracować plan chaty hygienicznej (zwłaszcza jej ogrzewanie), zanim oddamy go w ręce ludu.

W sprawie pomocy akuszeryjnej na wsi jednogłośnie zgodzono się, że najważniejszą jest tu dobra akuszerka, a dobrą i odpowiadającą celowi może być tylko t. zw. „babka," tj. kobieta, pochodząca z ludu i nauczona najprostszych zasad akuszeryi w specyalnej szkole (jaką mieliśmy dotąd przy Instytucie położniczym w Warszawie); umiejętność jej winna sprowadzać się do czystego (aseptycznego) prowadzenia porodu prawidłowego, oraz odróżnienia ciąży (czyli porodu) nieprawidłowej od normalnej. Akuszerki wyżej wykształcone (t. zw. I i II rzędu) nie nadają się dla położnic wiejskich: 1) nie potrafią się one dostosować do warunków miejscowych; 2) będą miały zbyt wielkie wymagania, a więc dla włościanek będą stanowczo „za drogie." Pomoc akuszeryjna, operacyjna winna być zapewniona ze strony jednego z lekarzy szpitalnych wiejskich — naturalnie bezpłatnie; w ten sposób sprawa pomocy akuszeryjnej ma ścisłą łączność z organizacyą ogólnej pomocy lekarskiej, o czem będzie niżej. Nadmienimy tu jeszcze, że w celu osiągnięcia możliwej czystości przy prowadzeniu porodu i połogu zaleca dr. Jaworski specyalnie dla babek wiejskich szorowanie rąk piaskiem wygotowanym. Czynione w tym celu doświadczenia z rękami, zanieczyszczonemi drobnoustrojami, dawały wyniki zachęcające do praktycznego stosowania tego sposobu tam, gdzie procedura szpitalna odkażania rąk szczotkami itp. nie zawsze da się przeprowadzić; stosuje się to przedewszystkiem do biednej praktyki wiejskiej.

Inne referaty z pierwszego dnia obrad, jako zbyt specyalne, pomijamy. Znajdzie je czytelnik w pismach fachowych.

(D. n.)

Dr. E. L.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

—♦—

Kasa Mianowskiego.

Członkowie Kasy Mianowskiego, otrzymawszy od niej sprawozdanie, zwykle rzucają nieprzejrzane do kosza, gdyż nie chce im się nużyć uwagi cyframi, a w dobrą gospodarkę zarządu wierzą. Tymczasem warto byłoby, ażeby oni zadali sobie trochę trudu i zapoznali się z tym dokumentem bardzo pouczającym, chociaż w swej wymowie bardzo mało zmiennym. Corocznie przekonywamy się, że Kasa posiada w społeczeństwie dużą sympatyę, że grono jej członków utrzymuje się w poważnej cyfrze (obecnie 823), że liczne i znaczne zapisy ciągle je zbogacają (w roku ubiegłym około 40,000 rb.), że jej majątek dosięga dziś pół miliona rubli, a z drugiej strony, że jej pożyczki i zapomogi pozostają w nieproporcyonalnym stosunku do owoców opłacanej przez nie „pracy naukowej," że obok jednostek, istotnie zasługujących na poparcie i dających za nie pożytek społeczny, są specyaliści, którzy ciągle wzywają jej pomocy dla niespełnionych obietnic, że są ludzie zamożni, uciekający się do niej po zasiłki, które sami łatwo ponieść by mogli, że wogóle nasi pewnego gatunku uczeni mało okazują skrupułów względem grosza publicznego. 33,773 rb. wydała Kasa w roku przeszłym na „cele naukowe." Czy ta suma ujawniła swój udział i wpływ w naszej nauce? Bynajmniej. Nie ujawniła zaś dlatego, że znaczna jej część przyznana została na „studya." Jest to wogóle najsmutniejsza rubryka wydatków Kasy. Zwykle, jeżeli ktoś nie może dokładnie określić racyi do otrzymania zasiłku, oświadcza, że potrzebuje go dla jakichś „studyów." Otóż w bardzo wielu wypadkach albo ich wcale nie podejmuje, albo wkrótce przerywa, albo prowadzi tak, że nauka nie ma z nich żadnej pociechy. Bo ona nic a nic na tem nie zyskuje, że jakiś jej kleryk pojedzie do Berlina, Wiednia lub Paryża, gdzie obejrzy z wierzchu jej świątynie. Ażeby zaś okazać dowodnie, czego nasi „uczeni" nie wstydzą się, przytoczymy jeden przykład ze sprawozdania. W dziale zapomóg umorzonych czytamy: „panu X. (opuszczamy nazwisko) z zapomogi na wydanie przekładu dziełka Gino-Loria: „Stan obecny najnowszych teoryj geometrycznych," w sumie rb. 172 k. 10 po zwróceniu ze sprzedaży całego nakładu rb. 46 k. 83 i umorzeniu w r. 1898 rb. 122 k. 10, umorzono resztujące rb. 3 k. 18." Czyli — p. X., człowiek bogaty, nietylko wziął z Kasy rb. 172 na wydanie książki, jak się okazało, niezbyt potrzebnej, której koszta mógł sam pokryć bez wysiłku, ale jeszcze pozwolił, żeby mu dodatkowo umorzono rb. 3 k. 18 i tę ofiarę ogłoszono publicznie. Dziwny gust. A takich jest wiele.

Nie robimy wymówek zarządowi Kasy: rozdziela ona jej pieniądze takim ludziom, jakich znajduje i za najlepszych stosunkowo uznaje. Ale ci ludzie powinniby przy żądaniu od niej zapomóg liczyć się jeszcze z czemś więcej, niż z możnością otrzymania ich.

Niespodzianka w niespodziance.

Zofia Chełmicka, obywatelka ziemska, przed dwudziestu laty zapisała testamentem swój majątek na cele publiczne, zastrzegając dla męża tylko dożywocie. W kilka lat po jej śmierci rozeszła się wieść, że p. Stanisław Chełmicki dopuścił do subhastacyi dobra swej żony, które sam nabył, skutkiem czego wszystkie legaty spadły. Część prasy, a głównie *Ateneum* i *Prawda*, upomniała się o utracony niesumiennie fundusz społeczny i obciążyła sprawcę tej szkody moralną winą, z której on nawet nie próbował się usprawiedliwić. Wobec tej wytrzymałości na zarzuty uważaliśmy sprawę za pogrzebaną. Aż oto niespodziewanie *Kuryer Warszawski* zamieścił dziwną wiadomość. Zaznaczywszy, że nieboszczka przeznaczyła 90,000 rubli na stypendya i 60,000 dla Instytutu głuchoniemych i ociemniałych, dla przytułku paralityków im. Sobańskiego, Instytutu św. Kazimierza i Biura nędzy wyjątkowej, powiada: „Po redukcyi wszystkich legatów o $^1/_4$, zasądzoną na rzecz spadkobierców zmarłej, zapisy dla *trzech* ostatnich instytucyj określono w sumie 33,750 rb. i na wypłatę ich przy akcie działów masy spadkowej Rada dobroczynności się zgodziła. Legat dla Instytutu św. Kazimierza 11,250 rb. wypłacony *będzie* gotówką; fundusz przytułku zabezpieczony *będzie* na hipotece nieruchomości Nr. 1679F, wreszcie suma 11,250 rb. Biura nędzy wyjątkowej zapisana *zostanie* na nieruchomościach Nr. 691 i 1132e." Przedewszystkiem po ujemnym wyniku walki z dożywotnikiem i tyloletniem jego milczeniu zdumiewającą jest nowina, że cośkolwiek wypłaconem lub zabezpieczonem *będzie*. Tego wcale nie oczekiwaliśmy. Powtóre radzibyśmy wiedzieć, dlaczego łaski skruszonego sumienia dostąpiły tylko „trzy" instytucye obdarowane przez zmarłą filantropkę i dlaczego od tego szczęścia wyłączony został fundusz stypendyalny 90,000 rb. oraz Instytut dla głuchoniemych i ociemniałych? Naturalnie stawiamy to pytanie bez żadnej nadziei otrzymania odpowiedzi ze strony, do której ono się zwraca i która najenergiczniejsze interpelacye wytrzymywała milczeniem.

Biednemu zawsze wiatr w oczy.

Przez ogród Saski, który jest nietylko miejscem spacerów, lecz i przejściem z jednej ulicy na drugą, nie wolno przechodzić ludziom nieodpowiednio ubranym choćby pragnęli oszczędzić sobie nieco czasu i sił w drodze do pracy lub do domu. Przepis nie pyta o stopień kultury przechodnia tylko o firmę krawca, u którego garnitur został obstalowany. Kogo bieda zmusza do zaopatrywania się w garderobę na Pociejowie, temu nie wolno stąpić nogą w ogrodzie Saskim!

Do wszystkich miejsc publicznych należałoby bronić wstępu tylko ludziom nietrzeźwym i brudnym. Trzeźwość nie jest przywilejem dobrze i starannie ubranych. A czystość? Gdybyż można było powiedzieć o wszystkich strojnych mieszkańcach Warszawy, że są czyści! Czystość jednak kosztuje, może więc biedaka nie stać na nią? Ale jest ona kardynalnym warunkiem kultury, nie wolno nam więc tolerować brudu pod żadnym pozorem, tembardziej, że mamy w Warszawie tanie kąpiele ludowe, przeznaczone właśnie dla niezamożnych. Z góry przypuszczam, że ów człowiek, którego nie wpuszczono do galeryi obrazów przy ulicy Wierzbowej przychodził tam, aby zadowolić swoje pragnie-

nie piękna, a więc posiadał rozwinięte poczucie estetyczne, brudu przeto prawdopodobnienie nie znosił, a jednak nie wpuszczono go. Zatem woźny nie miał prawa odmawiać mu wstępu dlatego, że był biednie ubrany. W grodzie naszym, utrzymuje się jeszcze dużo takich projektów, których wprowadzenia strzedz się należy.

Weźmy np. taki drastyczny projekt świeżej doby. Lekarze fabryczni domagają się badania robotników w celu walki z przymiotem. Przedewszystkiem poddanie robotnika najstaranniejszej nawet rewizyi wcale sprawy nie rozstrzygnie. Lecz zachodzi pytanie, dlaczego poddawać rewizyi tylko robotników fabrycznych? Wszakże wśród wszystkich klas ludzi i rodzajów zatrudnień zaraza niewątpliwie istnieje i grozi złemi następstwami. Przymiot nie jest wyłącznie chorobą klasy robotniczej, grasuje on zarówno na wyżynach jak i na nizinach towarzyskich, więc należałoby poddawać przymusowej rewizyi i następnie leczenin wszystkich mężczyzn, zamieszkujących Warszawę.

Kasa literacka.

Dnia 27 b. m. odbyło się doroczne zgromadzenie ogólne warszawskiej Kasy literatów i dziennikarzy. „Żywioły burzy w wiecznej są wojnie"— parafrazował z westchnieniem niejeden pesymista po przeczytaniu biadań pewnego fejletonowego Jeremiasza. Tymczasem spotkała ich niespodzianka. Pomimo bardzo ożywionej dyskusyi, spowodowanej tak żywotnemi zagadnieniami, jak sprawa ubezpieczenia członków i sprawa własnej księgarni nakładowej, obrady toczyły się tak porządnie, tak karnie, tak rzeczowo, że należy to istotnie zaakcentować. Fakt ten jest bardzo znamienny. Łatwiej bowiem o cierpliwość i spokój w dyskusyi pisanej, niż ustnej. Tymczasem w czasach ostatnich staliśmy się świadkami wręcz przeciwnego objawu. W dyskusyi pisanej pękała struna cierpliwości i to z hukiem na całą Warszawę. A tymczasem w dyskusyi ustnej ogólnego zgromadzenia tych samych żywiołów ład i skład! Jakże to wytłomaczyć? Jakiż błogosławiony powód? Co wpłynęło na taki wynik? Czy przypadkowy dobór żywiołów bardziej umiarkowanych, ludzi bardziej wyrobionych? Nie, nie, nie! Ogół literatów i dziennikarzy charakterem ostatnich obrad, ich tokiem i taktem dał najlepszą odpowiedź tym, którzy pod tym względem zgrzeszyli, którzy dyskutować nie umieli, którzy po argument sięgali do pięści. Ogół ten zarazem udowodnił, że tylko wyjątki taki grzech popełniają i że przeto na ten ogół za owe wyjątki odpowiedzialność żadną miarą spaść nie może. Ogół dowiódł społeczeństwu, że umie prowadzić dyskusyę, choćby gorącą, choćby namiętną, ale zdaje sobie dokładnie sprawę, gdzie leży granica, po za którą niewolno mu nigdy wyjść. Jeżeli przeto jakaś jednostka na tyle się zapomni, że sięgnie po argument do pięści, to jest ona niegodna należenia do tego dziennikarsko-literackiego ogółu, gdyż go tylko kompromituje. Ogół może być poszarpany na stronnictwa, zwalczające się wzajemnie w imię swych haseł. Ale pisarz powinien walczyć piórem; argumentem jego jest myśl, jest uczucie. Nigdy niewolno mu sięgać po argumenty do lasu. Takim argumentem nie przekona przeciwnika, nie przekona publiczności. Publiczność, która jest zawsze pochopna do uogólnień zbyt pospiesznych, powinna tedy spojrzenia swoje skierować z podobnego faktu na cały obóz, na jego życie publiczne i w tem życiu panujące obyczaje. A chwila jest właśnie dobra i pouczająca. Kasa literacka na zebraniu ogólnem z d. 27 b. m. dowiodła, że umie się szanować, że stoi na wysokości obyczajowej, na jakiej stać jej wypada; a dałaby ostatni wyraz swej obyczajności, gdyby względem członków, którzy ogół literatów i dziennikarzy w podobny sposób kompromitują, zechciała z należytą energią i bezwzględnością zastosować § 35 ustawy, który za czyn, uwłaczający godności członka instytucyi, pozwala winnego z listy uczestników wykreślić.

Na infamię anonima.

Urągliwy okrzyk Bismarcka: „Jedźcie do Monaco!", przypomniał się dwom redaktorom pism codziennych. A wychłostać szulerów, wychłostać tych, którzy trwonią mienie w europejskich domach gry, tych różnych panów Iksów, Ypsylionów, Zetów! Nietylko trwonią grosz, ale trwonią nasze dobre imię. Dictum, factum! Siada tedy na pociąg jego sędziowska mość pan Reporterski i jego sędziowska mość pan Powieściopisarski. Posiadają w kieszeni bardzo rozległe pełnomocnictwa i jadą do Monte-Carlo w obronie „tego naszego grosza" i „tej naszej dobrej sławy." Drżyjcie Iksy, Ypsyliony, kajajcie się Zety! Oni wam zedrą z twarzy maski anonimów, ukażą was ogółowi, napiętnują nazwiska wasze wieczną hańbą. Obróci się w grobie z wściekłości Bismarck, uratowany zostanie „ten nasz grosz" i „ta nasza dobra sława." Pan Reporterski zajeżdża do Monte-Carlo. Zajeżdża także pan Powieściopisarski. Ale słodka Riviera wpływa niezmiernie kojąco na oburzoną dumę narodową. Świetne stroje, blask południowego słońca, muzyka, kobiety, to działa. Pan Reporterski i pan Powieściopisarski biorą się tedy pod rękę, zwiedzają skwery, kasyno, dom gry improwizują „Scenę śpiewaną." Patrzą na falę ludzką, niby na rzekę płynących kwiatów i śpiewają: „Ah, quelle beauté, quelle grâce, jaka to świetność, przepych jaki!" Wtem słyszą brzęk złota i kończą zwrotkę. „Ach, łotry, szelmy, ach łajdaki, żeby ich piorun trzasnął!" Rozlega się okrzyk krupiera: „Messieurs, marquez vos jeux!" Pan Reporterski rozgląda się po szulerni, rozgląda się pan Powieściopisarski; przechylają się nieco cylindry na tył głowy i ujęci za ręce nucą duet: „Jaka muzyka, jaki śpiew, jak pięknie meblowany dom!" Ach, trzeba posłać do Warszawy pierwszy fejleton. Ot, kawiarnia, stolik, pióro i atrament. Pisze jeden: „Ah, monsieur le redacteur, je suis votre humble serviteur!" Pisze drugi: „Quel honneur, quel bonheur, ah! monsieur le redacteur..." Ale co to? Po polsku tu gadają! Pietrek, słyszysz? A wiesz, że tamten przy oknie przegrał wczoraj 80 tysięcy franków? Wacek, trzeba się dowiedzieć, kto on, omalujemy go. Daj mu pokój, przecież widzisz, że czyta mojego *Kuryera*; mamże piętnować własnego prenumeratora? Ale patrz, tam pod zwierciadłem siedzi inny Polak, on już dziś przegrał sto tysięcy franków; tego napiętnujemy. Cicho, na miły Bóg, Pietrek, czy nie widzisz, że trzyma w garści moją *Gazetę*? Rada w radę i układają wspólnie następującą korespondencyę: „Korci nas, aby wymienić kilka nazwisk, ale nie chcemy, aby nas nie pomówiono o złą intencyę. Dotrzymujemy danego słowa, że nawet w najniewinniejszy sposób nie przytoczymy nazwiska rodaków. A słowo wzięło od nas wielu rodaków, obawiających się wydania ich *incognito*, drżących, że samo zacytowanie nazwiska wystarczy za oskarżenie. Nie chcemy tedy burzyć spokoju jednostek i powiemy tylko, że pan X-ski przegrał 80,000 franków, pan Ygrekowicz 50,000 a pan Zetowski 100,000 franków. Wstyd, ogromny wstyd! To za dużo, to stanowczo za dużo..." Po takiem napiętnowaniu anonimów wracają ich sędziowskie moście pan Reporterski i pan Powieściopisarski do Warszawy, opromienieni zasługą społeczną, redaktor każdego klepie po ramieniu za „wyjątkowy takt," a każdy z nich położywszy rękę na piersi kończy, z głębokim ukłonem: „Ah, monsieur le redacteur, je suis votre humble serviteur!"

BADANIA NAUKOWE.

Źródło zakazów małżeńskich.

HYPOTEZA.

I.

Nauka o rodzinie w ciągu ostatnich lat czterdziestu — od wyjścia „Prawa macierzyńskiego" Bachofena w r. 1861 — zrobiła olbrzymie postępy. Zapoznanie się z formami pożycia między dwoma płciami i między rodzicami a dziećmi, oraz ze stosunkiem tych form do form życia społecznego wogóle u ludów, nieobjętych cywilizacyą europejską, czy to za pośrednictwem świadectw podróżników i kompilatorów starożytnych (co było właśnie zasługą Bachofena), czy też obserwacyj podróżników i misyonarzy nowożytnych, otworzyło oczy uczonym na liczne zjawiska z życia przeszłego i współczesnego narodów europejskich, które poprzednio, jako sprzeczne z panującem pojęciem rodziny patryarchalnej, uważano w najlepszym razie za jakieś zboczenia, wynikające z ciemnoty ludu, albo też częściej zupełnie ich nie dostrzegano. Zestawienie tych faktów obaliło wiarę w pierwotność formy rodziny, którą znała historya święta i prawo rzymskie, dwa przez tyle wieków jedyne źródła myśli naukowej, europejskiej. Dzięki nowym metodom, pod wpływem nowych źródeł i ogólnego prądu krytyki urządzeń i wierzeń istniejących, o którego znaczeniu nigdy zapominać nie należy, nauka postawiła twierdzenia lub przypuszczenia co do stanów ludzkości, kiedy matka, nie ojciec, była główną osobą w rodzinie, opiekunką dzieci i imionodawczynią, kiedy połączenie się mężczyzny i kobiety nie było trwałem, ani ich wzajemne prawo do siebie wyłącznem, kiedy ograniczenia związków małżeńskich, o ile istniały, miały zupełnie odmienny zakres i charakter, kiedy gwałt nad kobietą był warunkiem prawnego małżeństwa i wszystkie pojęcia o etyce płciowej i rodzinnej były wprost sprzeczne lub raczej niewspółmierne z naszemi, kiedy wreszcie rodzina, względnie ród, była całem społeczeństwem i pełniła wszystkie jego funkcye względem jednostki. Odkrycia te pozwoliły zrozumieć cały szereg instytucyj zwyczajowych i nawet prawnych, których dawniej zupełnie nie pojmowano; padło niespodziewane światło nawet na takie stosunkowo podrzędne zjawiska społeczne, jak sobótki lub „kuwada" z jednej, jak np. małżeństwa morganatyczne lub herby z drugiej strony. Pomnożenie materyału faktycznego oraz zaostrzenie zmysłu metodologicznego pozwoliło następnie pod wieloma względami sprostować i pogłębić wyniki badań. W końcu zaczęto nawet, kierując się busolą rozwoju ekonomicznego, budować nową syntezę ogólną dziejów rodziny i małżeństwa. Lecz wszyscy badacze spotykali się z pewnym faktem, który nie dawał się sprowadzić do czegoś pierwotniejszego i prostszego: z wyłączeniem od związków płciowych ludzi, znajdujących się już w blizkich stosunkach innego rodzaju; nie mówię: krewnych, bo czy były to blizkie stosunki pokrewieństwa, czy współżycia, to już było i jest kwestyą sporną. Fakt ten, nazwany przez Mac-Lennana egzogamią, próbowano sobie tłomaczyć najrozmaitszymi sposobami, i dziś ostatecznie, po tylu próbach, wielu badaczy kapituluje przed nim, ogłasza go za niemożliwy do wyjaśnienia, a inni nazywają go „centralną tajemnicą życia społecznego." A istotnie tajemnica to „centralna,"

fakt, instytucya pierwszorzędnej wagi. Niema bowiem na świecie narodu lub plemienia, któryby nie znał surowych zakazów małżeńskich w tym lub owym zakresie. Odgrywają one bardzo ważną rolę już w życiu, najniżej na drabinie ludów znanych stojącego, Australczyka; i na najwyższym znowu szczeblu tej drabiny, u współczesnych narodów cywilizacyi indo-europejskiej, nietylko posiadają moc pełną w prawie pisanem, ale są jednym z najgłębiej ugruntowanych, najpowszechniej uznanych nakazów obyczajowych; są nawet tem przykazaniem moralnem, którego najbardziej szalony burzyciel nie krytykuje i przeciw któremu ludzie faktycznie najmniej wykraczają!

Ten absolutny charakter zakazów płciowych sprawił, że uważano je za wrodzone człowiekowi: za wypływ naturalnego, przez Boga ludziom danego wstydu, wstrzemięźliwości i wstrętu. Przez długi czas nie potrzeba było innego tłomaczenia. Lecz nowy kierunek studyów nad rodziną tak przewracał wszystkie dotychczasowe pojęcia o tem, co miało być człowiekowi wrodzone i naturalne, tak niezbicie, za pomocą przykładów zorganizowanego starcobójstwa lub dzieciobójstwa, dowodził stopniowego, historycznego powstania, pod wpływem historycznych przyczyn, nawet takich uczuć rodzinnych, które dotychczas uchodziły za najelementarniejsze, że i do zakazów małżeńskich musiano zastosować ten sam punkt widzenia. Konieczność innego tłomaczenia, jak za pomocą instynktu naturalnego, wynikała dla Morgana np. jeszcze i stąd, że znalezione przez niego zakazy małżeńskie obejmowały zbyt szerokie koło krewnych: wszystkich mianowicie krewnych po matce! Pod wpływem nowych pojęć darwinizmu twierdził więc Morgan, że ograniczenia koła krewnych, mogących zawierać małżeństwa między sobą, były dziełem doboru naturalnego. Plemiona, które przestały praktykować związki małżeńskie między rodzicami a dziećmi, między braćmi a siostrami, między coraz bardziej oddalonymi krewnymi, miały rozwijać się „szybciej i pełniej,“ a przez to zyskiwały przewagę nad innemi lub nawet pociągały je swym przykładem! Fr. Engels przyjął to samo tłomaczenie, i na tej zasadzie dokonał owego sławnego, dziś uznanego za błędne, podstawienia dla czasów przedhistorycznych czynnika „produkcyi ludzi“ na miejsce „produkcyi bogactw“ w materyalistycznym poglądzie na dzieje. Dziś jeszcze to tłomaczenie ma wielu zwolenników; dają się mianowicie zauważyć ciekawy fakt, że każdy czuje jego braki, zaczyna szukać innych tłomaczeń, a wypróbowawszy pewną ich ilość bezskutecznie, powraca do niego, jako do względnie najlepszego. Nasi dwaj nowi autorowie na tem polu, pp. J. Kucharzewski *) i W. Schreiber **), tak samo postępują.

A jednak tłomaczenie to doprawdy nie wytrzymuje krytyki. Przypuśćmy najpierw, że rzeczywiście dzieci blizkich krewnych są bezwarunkowo mniej silne i zdrowe, niż dzieci dalszych krewnych, dzieci krewnych wogóle od niekrewnych itd. W takim razie plemiona egzogamiczne rozwijałyby się istotnie lepiej od endogamicznych; ale czy różnica byłaby tak wielka i tego rodzaju, żeby spowodować mogła zniknięcie endogamów z powierzchni ziemi? Dobór naturalny powoduje, jak wiadomo, znikanie tych, którzy nie są przystosowani do jakichś, dla nich nowych, warunków przyrodzonych, do wymagań walki o byt. Jakież to mogły być warunki, tkwiące w przyrodzie otaczającej, któreby wymagały od człowieka przystosowania się w formie przejścia od endogamii do egzogamii? Czas, w którym Morgan pierwsze tego rodzaju ograniczenia umieszcza, jest czasem przejścia od „stopnia niższego do stopnia wyższego dzikości,“ czyli innemi słowy — wynalazku ognia i pierwszej broni kamiennej, ostatecznego zejścia z drzew na ziemię, użycia na pokarm ryb i zwierzyny. Czy podobna przypuścić, żeby gromady, które przez długi szereg wieków zachowały byt swój w okresie poprzednim i właśnie dokonały tak olbrzymich postępów na drodze uzdolnienia do walki z przyrodą, miały potem w walce tej zaginąć dlatego tylko, że nie zaniechały wewnętrznożeństwa? Gdyby więc szło tylko o walkę z naturą, to czynnik, przyjęty przez Morgana, musiałby nam dać w rezultacie znaczną ilość plemion endogamicznych obok egzogamicznych, i jakąś widoczną różnicę fizyczną i umysłową między niemi. Tymczasem egzogamia (w tych lub owych granicach) jest prawem powszechnem, endogamia — rzadkim wyjątkiem, o którego możliwych przyczynach pomówimy później. Więc może idzie o walkę między plemionami, w której egzogamiczne zwyciężały dzięki wyższości fizycznej czy umysłowej? W takim razie ta przewaga, stale i zawsze prowadząca do zwycięztwa, musiałaby być bardzo znaczna. Czy to można przyznać, zobaczymy dalej; tu zauważymy jednak jeszcze, że w takim razie plemiona zwycięzkie, zabierając sobie kobiety pobitych, co się zwykle dzieje, zaszczepiałyby same sobie krew gorszą; że więc z kolei dobór naturalny musiałby był kazać plemionom zwycięzkim, na widok takiej niższości innych, zamknąć się w sobie, powrócić do wewnętrznożeństwa! Zresztą, egzogamia dzikich i barbarzyńców, wyrażająca się w stałem *connubium* między dwiema grupami, jest w gruncie rzeczy endogamią nieco szerszej grupy. — Co ważniejsza, tłomaczenie za pomocą doboru naturalnego przypuszcza już dokonane u niektórych ludów przejście do egzogamii; jakim sposobem i dlaczego ono dokonać się mogło, tego wcale nie widać. Przyrodnikom zdarza się to zresztą często, że dobór naturalny zastępuje u nich—świadomie i celowo działającą Opatrzność, szepczącą istotom ziemskim na ucho, co mają robić, jakich organów się pozbyć, w jakie się zawczasu zaopatrzyć... Tłomaczenia za pomocą doboru naturalnego przestają być metafizycznemi dopiero wtedy, jeśli można wskazać pobudki i sposób powstania pewnych zmian, np. w samej czynności, ćwiczącej, wzmacniającej i przekształcającej organ dzięki sprzyjającym okolicznościom zewnętrznym, lub odwrotnie — w zaniku stopniowym itp.; tembardziej wymaga się tego, gdy idzie o normy zbiorowego życia istot myślących. Tymczasem Morgan, Engels i ich zwolennicy dla wytłomaczenia pierwszego zjawienia się egzogamii mogą powołać się tylko albo na ślepy przypadek: a w takim razie zupełnie niepodobna zrozumieć zjawienia się tej instytucyi na całym świecie, boć przecie niepodobna przypuścić, że wszystkie plemiona globu krwawo, czy pokojowo, nauczyły się rozumu od jednego lub paru; albo też muszą szukać jakiejś ogólnej przyczyny pierwszego zjawienia się egzogamii u wielu różnych plemion; a w takim razie ta przyczyna z punktu widzenia socyologicznego będzie nieskończenie ważniejsza od doboru naturalnego.

Przypuszczając nawet takie, jakiego chce Morgan, działanie doboru naturalnego, nie możemy zrozumieć, jakim sposobem uświadomiło się ono ludziom pierwotnym, bez czego przecie niemożliwe by było zjawienie się tak bezwzględnych zakazów. Działanie to bowiem musiałoby być tak powolnem, rozłożonem na tak długi szereg pokoleń, że dziki nie mógłby spamiętać zmian stopniowych, ani wyprowadzić z nich wniosków. Nawet u plemion, praktykujących egzogamię dzięki jakiemuś przypadkowi przez szereg pokoleń i wskutek tego zwyciężających inne, oraz opierających się zgubnym zamachom sił przyrody, nie mogłoby powstać skojarzenie przyczynowe tych faktów; byłby co najwyżej zwyczaj, lecz nie zakaz i groźba kary. Pod wpływem widocznie takich rozważań Ernest Grosse przypuszcza, że dziki nabrał przekonania o szkodliwości związków między blizkimi krewnymi innym sposobem: a mianowicie dzięki bezpośredniej obserwacyi złych skutków takich związków, wyrażających się w słabem i niezdrowem potomstwie bardzo blizkich krewnych *); nabrawszy zaś takiego przekonania, nietylko ich się wyrzekł, ale z właściwą sobie zabobonną logiką rozszerzył zakaz stopniowo i na najdalszych krewnych. Lecz w takim razie pytanie przedewszystkiem, dlaczego zakaz ten u ludów najpierwotniejszych obejmuje tylko krewnych po matce, lub ściślej — wszystkich krewnych po matce, a tylko najbliższych krewnych po ojcu (tych, którzy żyją razem)? Wszak jedno i drugie pokrewieństwo powinnoby jednakowo źle oddziaływać na potomstwo? Wszak podług samego Grossego, już u Australczyków tak jedno, jak drugie pokrewieństwo jest jednakowo łatwe do stwierdzenia; dlaczegóż jedynie macierzyńskie ma zewnętrzną oznakę, totem, strzegącą najdalszych krewnych od stosunku płciowego?

Najważniejszy argument przeciwko tłomaczeniu tak Morgana, jak Grossego, i podobnym, leży w tem, że szkodliwość małżeństw krewniaczych dla potomstwa bynajmniej nie jest stwierdzona. Jest to przekonanie, nabyte przez ludzkość przez długie wieki powszechnego zakazu kazirodztwa, i odziedziczone przez biologię nowożytną; jest to naukowa przeróbka groźby strasznych kar za grzech kazirodztwa, obawy narodzin potworów itp. Zalety krzyżowania polegają na tem, że powiększa się ilość czynników w grę wchodzących, a przeto znaczenie jakiegoś szkodliwego czynnika, tkwiącego w organizmie kogoś z rodziców, odpowiednio się zmniejsza; ale jeśli organizm, zarówno ojca jak matki, wziętych z jednego rodu lub rodziny, posiada tylko cechy pomyślne, pożądane dla potomstwa, to przecie i hodowcy, posługujący się doborem sztucznym w celu otrzymania gatunku z pewnemi cechami szczególnie rozwiniętemi, łączą wtedy jednostki z ciasnego koła podobnych, spokrewnionych. „Kazirodztwo“ może potęgować w potomstwie tak złe, jak również dobre cechy organizmu rodziców; innego jego działania bez przyjęcia jakichś metafizycznych czynników wystawić sobie nie można; i od zewnętrznych warunków zależy, czy wytworzony w ten sposób typ będzie rozwijał się, czy zginie. Są przykłady (gmina Bac na półwyspie Croisic) zupełnej nieszkodliwości endogamii ciasnego koła ludności; natomiast rzekome dowody szkodliwości małżeństw krewniaczych bywają wprost śmieszne **). Durkheim po długim rozbiorze dochodzi do wniosku, że jedynem bezwzględnem złem następstwem związków krewniaczych jest ujednostajnienie typu, które mogło ostatecznie utrudnić dzikiemu walkę o byt. Ale ponieważ dla dzikiego, który nawet jeśli koczuje, to koczuje na stosunkowo niewielkich przestrzeniach, same warunki walki o byt są również jednostronne, więc szkoda to dla niego niewielka. I wogóle, różnica wartości między potomstwem

*) „Początki prawa małżeńskiego,“ 1901.

**) „Małżeństwo i jego dzieje,“ 1903.

*) Niektórzy (np. u nas p. W. Schreiber) sądzą, że dzicy mogli już zaobserwować złe skutki kazirodztwa u zwierząt domowych. Doprawdy, zbyt pochlebne mniemanie o poprzedniku Australczyka!

**) Tak np. p. Schreiber (l. c. str. 131) przytacza statystykę Stiedy, podług której w 44 depart. francuskich było małżeństw krewniaczych 9,2 na 1,000, w 45 innych depart. — 14,8; i odpowiednio „chorych cielesnie i umysłowo“ mieszkańców — 2,65 i 3,1 na 1000! Nieprawdaż, przekonywająca różnica?!

endogamów a egzogamów sprowadza się wtedy do takiego odcienia, że zupełnie dla nas nie wchodzi w rachubę.

Tłomaczenie więc egzogamii Morgana, zarówno jak „czynnik produkcyi ludzi“ Engelsa i wszelkie inne jego odmiany, trzeba bezwarunkowo odrzucić.

Dr. Kazimierz Krauz.

LITERATURA I SZTUKA.

Lucyan Muhlfeld.

Przed kilku miesiącami umarł w Paryżu na suchoty jeden z najwybitniejszych powieściopisarzy francuskich chwili obecnej: miał zaledwie lat 32. Muhlfeld należał do wcale nierzadkiego typu Francuzów, którzy z talentem prawdziwym, chociaż nie olbrzymim, łączą ogromną, wytrwałą pracowitość. Na arenę literacką wszedł nie przypadkowo, lecz zaopatrzony w tym celu w grutowne wykształcenie filozoficzno-literackie. Kiedy, nikomu jeszcze nieznany, wystąpił przed czterema czy pięciu laty z pierwszą swą powieścią, „Le mauvais désir,“ odrazu zwrócił na siebie uwagę nie — jak tylu innych — sensacyjnością tematu, tytułu, formy i myśli, lecz subtelną, do drobnostek posuniętą, czasami zdumiewająco trafną obserwacyą zjawisk codziennych, ale z głębokiej dziedziny życia uczuciowego, obserwacyą głęboką, prawdziwą, krytyczną, nawet ironiczną, ale nie okrutną, przeciwnie, ogrzaną dyskretnem współczuciem dla ofiar serca. Wkrótce potem Muhlfeld objął dział krytyki teatralnej w *Journal'u* i wydał nową powieść paryską p. t. „La Carrière d'André Tourette.“ Pisana dowcipnie, żywo, wprowadzająca czytelnika i do półświatka, i do niewiele lepszego dobrego świata paryskiego, cała przepojona jakąś, że tak powiem, objektywną, pobłażliwą wzgardą dla nędznego bohatera, miała jeszcze większe powodzenie, niż pierwsza. Potem już z wielkiem zaciekawieniem oczekiwano wyjścia w książce trzeciej powieści, „L'associée,“ którą drukowało *Revue de Paris*. Muhlfeld już tego nie doczekał... Strata to bezwątpienia znaczna dla literatury francuskiej.

Te trzy tomy, „Złe pragnienie,“ „Jędruś Tourette“ i „Towarzyszka“ są zatem całą puścizną literacką po Lucyanie Muhlfeldzie. Chociaż nie znajdują się one w żadnym ze sobą związku, nie stanowią bynajmniej jakiejś trylogii, jednak przebija się w nich wszystkich jedna myśl przewodnia. Już w pierwszej powieści spotykamy mężczyznę i kobietę w takim stosunku wzajemnym, jaki pod innemi formami odnajdujemy w obydwóch następnych. Młody urzędnik wydziału dyplomatycznego, wysoko wykształcony, przesiąknięty wyrafinowaną kulturą paryską, kocha młodą, piękną wdowę, oddaną mu całem sercem. Lecz mężczyzna nie znajduje trwałego szczęścia w tej miłości. On nie ma zaufania do kobiety, węszy w niej na każdym kroku pozę, nieszczerość, kokieteryę względem innych mężczyzn. Każdy jej ruch, każdy krok wydaje mu się obliczonym na tę, choćby umysłową rozpustę. W chwilach rozdrażnienia dochodzi czasami do tego, że pocichu daje się opanować życzeniu widzenia jej nieruchomą, martwą, pozbawioną już tej zdolności i tego instynktu podobania się. Taką formę „złego pragnienia“ przybiera egoistyczna miłość mężczyzny. Tymczasem sam pozwala sobie na kilka kaprysów miłosnych; nie zastanawia się nawet na chwilę nad tem, że jest to zdrada wiernej ukochanej. Wiadomość o tem dochodzi do niej przypadkiem, podczas jego nieobecności; wątły, cieplarniany kwiat nie przenosi tego; dawno już rozwinięte cierpienie sercowe zabija kobietę, która żyła tylko miłością dla jednego. A u niego na jej pogrzebie uczucie żalu i smutku miesza się z uczuciem zaspokojonego „złego pragnienia.“

Jędruś Tourette jest sobie indywiduum znacznie podlejszego gatunku — chociaż ze sfery jeszcze „towarzyskiej,“ bo po za tę Muhlfeld nie wyszedł; wspólny mu jest z wykwintnym *attaché* ów nieświadomy a niewzruszony egoizm mężki. Jędruś Tourette jest wogóle doskonałym typem — który pozostanie w historyi literatury — człowieka małego, marnego, leniwego, bez zdolności, a jednak wiecznie z siebie zadowolonego, ponieważ z wygodnictwa duchowego i fizycznego tłumi on w samym zarodku wszelkie zwątpienia i wierzy święcie, że pracuje, postępuje uczciwie i poważnie pojmuje życie, gdy w rzeczywistości w nędzny sposób korzysta tylko zawsze z czyjejś pomocy: matki, przyjaciół, kochanki, żony. Ale właśnie stosunek do kobiet kochanych wysuwa się na pierwszy plan w tej jego psychologii. Margot, nieskomplikowana Margot z teatrzyku, kocha go po swojemu szczerze; on mówi wciąż o tem, co dla niej zrobi, jak ją uwolni od bogatego protektora, a tymczasem, zawsze pełen godności, pozwala się utrzymywać i w końcu bez najmniejszego skrupułu, bez żadnego objawu wdzięczności — odchodzi, wmawiając w siebie, że to dla jej dobra czyni. Uczciwa, dzielna, choć nie pierwszej już młodości nauczycielka, z zaprzyjaźnionej od dawna rodziny, bierze go za męża, pełna wiary w niego; on, do niczego niezdolny, poprzestając na nędznie płatnej synekurce sekretarza jakiegoś klubu, znów pozwala się utrzymywać i najmocniej wierzy, że ciężko pracuje na rodzinę...

Ostatnia powieść młodego pisarza przedstawia nam podobny stosunek w znacznie wyższej formie, przeniesiony do znacznie wyższej sfery duchowej i towarzyskiej. Pani Genowefa Tellier, kobieta z natury swej należąca do gatunku *univira*, zakochana jest całą duszą w swym mężu, lekarzu na progu sławy. Jest ona piękna i wysoce inteligentna, posiada wszystko, co może dać szczęście kochającemu mężczyźnie — a państwo Tellier, choć odpowiadali sobie tak pod względem majątkowym, jak społecznym, pobrali się z miłości, tylko z miłości. Mąż ją też kocha całkiem szczerze; ale po paru latach uczucie to z gorącego staje się tylko ciepłem, codziennem, zwyczajowem. Taka już natura Alberta: niczemu nie oddaje się całą duszą, ani żonie, ani żadnej sprawie, ani żadnej kobiecie; chroni go od tego nieświadomy lecz głęboki egoizm, wygodnictwo. Żona odgaduje tę naturę, ale zna również inną jej, czysto męzką, jak pospolicie mówią, cechę — ambicyę. Kierowana miłością jedynie, żądzą zespolenia się z ukochanym człowiekiem w czemś wzniosłem i wielkiem, przez co on i ją by kochał żywo i nieustannie, postanawia zużytkować tę cechę. Z dyskretną i skuteczną zręcznością podsuwa mu cele i prace, wyzyskuje stosunki, aby mu zapewnić powodzenie, rozgłos, nagrody, stosunki pierwszorzędne i jest jego ciągłą, cichą, umiejętną i niezmordowaną współpracowniczką. Doktór Tellier jest również człowiekiem niepospolitych zdolności i poważnej wiedzy, sam niemało wkłada pracy w te przedsięwzięcia; i gdy mu się wszystko udaje, gdy zostaje senatorem i człowiekiem na cały świat sławnym, sobie jedynie, swej zasłudze przypisuje powodzenie; nietylko zapomina o tem, że niejeden artykuł, który przysporzył mu sławy, wyszedł prawie całkowicie z pod pióra jego żony, nietylko nie domyśla się ani trochę, że jej zabiegi niejedno mu ułatwiły, i jej wpływ na niejeden krok doniosły go zdecydował — ona mu tego poznać nie daje — lecz nawet wkrótce, powodowany nieświadomą dumą męzką i zawiścią, zaczyna umyślnie, pod pozorem troskliwości, usuwać żonę od swych prac, nie chce uznać w niej towarzyszki, pomocnicy, współpracowniczki. Genowefa, tłumiąc łzy, chciałaby wypełnić sobie życie czem innem, na wzór tylu kobiet z jej sfery; ale ich mody, plotki, pseudo-dobroczynność, wizyty — nie, na to jest ona zbyt inteligentna i zbyt ambitna. Pokochać kogo innego? Kandydatów nie brak, i nawet dość sympatycznych. Rzucenie się w wir z zamkniętemi oczami, wyrwanie się z szarzyzny miłości zwyczajowej — miałoby wielki urok. Ale cóż? Genowefa kocha tylko jednego, tylko jednego kochać może. Ciągle więc stara się zająć w jego życiu takie miejsce, jakie sobie, jako inteligentna, oddana „towarzyszka,“ wymarzyła — i ciągle naprózno. On — wystarcza sam sobie, nikomu ani niczemu nie oddaje się całkowicie, tylko sobie. On — nie cofa się nawet przed pozadomową miłostką; o tem zresztą Genowefa nie wie. Cały egoizm i niesprawiedliwość mężczyzny pysznie występuje w jednym obrazku: Albert z prawdziwą przyjemnością, długo przymierza i ogląda przysłany mu z Holandyi pled myśliwski. Gdy wkrótce potem żona przychodzi do jego gabinetu z prośbą o pomoc w wyborze między boa białem i popielatem, pan uczony z grzeczną niecierpliwością przypomina, że jego praca ważniejsza od fatałaszków...

Gdy się czyta „Jędrusia Tourette'a“ albo „Towarzyszkę,“ przychodzi czasami na myśl „Bel ami“ Maupassanta. Jerzy Dubois również zrobił całą karyerę przez kobiety, a dawał im wzamian zawsze znacznie mniej, niż od nich otrzymywał. To typ bezględnego mężczyzny-egoisty, ale różnica między nim a typami Muhlfelda jest znaczna — jak różnica między temperamentami tych dwóch, zresztą zapewne spokrewnionych pisarzy, jak między ich sposobami malowania: jaskrawym, pstrobarwnym i przyćmionym, odcieniowym. Typ „Bel ami“ jest, nadzwyczaj określony, i wywołuje natychmiast należną mu ocenę moralną. U Muhlfelda zaś, pominąwszy Tourette'a, który tak ma się do „Pięknego przyjaciela,“ jak pospolity kot domowy, lubiący bezczynnie wygrzewać się w popiele, do drapieżnego i silnego leoparda, dr. Tellier np. nie da się tak łatwo i stanowczo osądzić, nie jest tak wyraźnie czarny — albo biały. (Pochodzi to i stąd zresztą, że od czasów Maupassanta sceptycyzm w młodem pokoleniu zrobił jeszcze postępy...). Że w jego sławie i pracach główną zasługę ma żona, tego on wiedzieć ani myśleć nie może, bo sam jest nie byle czem. Wyzyskując złote i hartowne serce Genowefy, może rzeczywiście nie zdawać sobie z tego sprawy i czuć się dla niej dobrym, kochającym, szlachetnym. Odpowiedzialność za takie traktowanie kobiety, za jej niedocenianie, spychanie na podrzędne miejsce — spada, rzecz oczywista, nie na złą i niewdzięczną jednostkę, jaką był „Bel ami,“ lecz na — środowisko społeczne i towarzyskie.

Muhlfeld, przeprowadzając starannie całą tragedyę albo tragikomedyę swych bohaterów głównych, nie zaniedbuje odmalować tego środowiska rysami niewielkimi, szczegółowymi, ale tak wyraźnie i charakterystycznie, że występuje ono zupełnie wypukle. Szczególniej w „Le mauvais désir“ i w „Associée“ poznajemy to najwyższe,“ najlepsze towarzystwo paryskie (nie arystokratyczne, wzięte w monopol przez Bourgetów, lecz „republikańskie,“ czyli świat nauki, literatury, polityki). Nie! w tem społeczeństwie, czy raczej towarzystwie mieszczańskiem niema miejsca dla kobiety z takiemi aspiracyami, jak Genowefa Tel-

lier, dla towarzyszki ukochanego mężczyzny w pracy dla celów idealnych. Bo najpierw sam charakter tej pracy w tem towarzystwie, gdzie się łączy jak najściślej z wyścigiem o nagrodę, o zaszczyty, o karyerę, musi wyrabiać w mężczyźnie bezwzględność, egoizm i próżność drobnostkową, które nie mogą mu pozwolić na uznanie w kobiecie — równej i równie zasłużonej. A powtóre—porewolucyjne, przez Napoleona zgnębione społeczeństwo mieszczańskie nie ma już pań Roland, kobieta raz na zawsze może w niem być tylko — „albo kurtyzaną, albo gospodynią.“ Muhlfeld, pod maską sceptycyzmu serce i rozum mający autor, widzi całą nędzę tego społeczeństwa, i czuje, jak kobiety zaczynają je przerastać. Niejedna przecież wydostać się z niego nie może; zakorzeniony instynkt okrywa w oczach Genowefy — tak samo, jak jej męża — ekonomiczną i umysłową samodzielność kobiety—śmiesznością. Szydząc z honorów i zwyczajów tego towarzystwa, Genowefa Tellier przy pierwszej sposobności całą duszą do niego powraca. W gruncie rzeczy — tak samo i Lucyan Muhlfeld. Wzrok jego, jeśli czasem wybiega po za granice zwykłego otoczenia, nie wie wcale, na czem się zatrzymać; umie on tylko mglisto idealizować stan ludzi, którzy, zmuszeni walczyć o byt, nie mają tych subtelnych niepokojów... Znają inne, lecz o tych u Muhlfelda mowy być nie może. Wobec tego, pomimo całej wzgardy i niesmaku dla swej sfery, doradza on tylko sobie i swym bohaterom — rezygnacyę. Rezygnacya — to wszystko, co pozostaje dziś ludziom ze społeczeństwa mieszczańskiego, ilekroć mają duszę, rwącą się do czegoś większego i lepszego...

K. Radosławski.

NA MARGINESIE.

Przeżytek. Gdy młody król hiszpański, idąc za porywem swego serca, chciał odwiedzić zmarłego Sagastę, powstrzymano go etykietą, która nie pozwala mu na takie „poniżenie.“ Hiszpańska etykieta dworska należy do najbardziej skamieniałych, a ponieważ jest ona podstawą austryackiej, więc dzienniki wiedeńskie żądają usunięcia przestarzałych zwyczajów z domu panującego, a jeden z nich (*Zeit*) przytacza zdarzenie z Sobieskim. Pomimo całej wdzięczności — mówi to pismo — jaką cesarz był winien królowi polskiemu, należało szczegółowo obmyśleć sposób powitania go bez ujmy dla swego majestatu. Trudność oznaczenia właściwej z obu stron liczby kroków przy zbliżaniu się była tak wielką, że nie mogąc z niej wybrnąć, postanowiono urządzić spotkanie na koniach. Hiszpańska sztywność i chłód Leopolda oburzyła krewkiego Sobieskiego, a zwłaszcza rozdrażniło go zachowanie się cesarza, gdy ten nie pozdrowił jego syna Jakóba przy przedstawieniu. „Nawet nie podniósł ręki do kapelusza—pisał król do żony — skamieniałem.“ Taką grzecznością odpłacono za odsiecz Wiednia. Czas skruszył nieco i tę oporną mu skałę: dziś ani w Madrycie, ani w Wiedniu już nie rozprawiają na radzie ministrów, czy „racya stanu“ pozwala jakiejś damie dworskiej przyznać krzesło z poręczą lub bez poręczy.

Reforma szkół średnich.

Prawit Wiestnik ogłasza:

„W d. 15 (28) marca r. b. Najjaśniejszy Pan Najwyżej dać raczył zarządzającemu ministeryum oświaty poniższe wskazówki, mające służyć za główną podstawę opracowywania projektów prawodawczych o szkole średniej:

1) Gimnazyum zachowuje kurs ośmioklasowy, wykłada się w niem oba języki starożytne, lecz język grecki w większości gimnazyów nie jest obowiązkowy; ukończenie tej szkoły daje wolny wstęp do uniwersytetu.

2) Szkoły realne, których program nauczania również podlega rozpoznaniu, zachowują zasadniczy kurs 6-klasowy z klasą siódmą dodatkową; ukończenie tej ostatniej otwiera wstęp do wyższych zakładów naukowych technicznych.

3) Oprócz gimnazyów i szkół realnych popowinny być otwierane średnie zakłady szkolne z zamkniętym kursem ogólnokształcącym w zakresie sześciu klas, których ukończenie daje prawo do służby państwowej w zarządach gubernialnych.

4) Rozwój jak najszerszy ma być dany średniemu wykształceniu technicznemu i profesyjnemu, obliczonemu na zaspokojenie praktycznych potrzeb życia.

5) Szczególna uwaga winna być zwrócona na wynalezienie sposobów ku podniesieniu religijno-moralnego i wogóle wychowawczego wpływu szkół wszystkich typów na młodzież szkolną, jako też na utrwalenie niej oddania się ideom rosyjskiej państwowości i narodowości.

6) W celu możliwie zupełnego urzeczywistnienia zadań pedagogicznych mają być zakładane pensyonaty, w których korzystałaby z kierownictwa wychowawczego młodzież pewnej grupy zakładów szkolnych w danem mieście.

7) Łącznie z wymaganiami, stawianemi przekształconej szkole średniej, mają być niezwłocznie ustanowione sposoby odpowiedniego przygotowania nauczycieli dla niej.

Następnie, skutkiem najpoddańszego raportu zarządzającego ministeryum oświaty d. 28 marca (10 kwietnie) r. b., Najjaśniejszy Pan Najwyżej rozkazać raczył:

W gimnazyach, gdzie, według planu lekcyj, Najwyżej zatwierdzonego d. 2 lipca 1902 r., język grecki zaczyna się w klasie piątej, przystąpić, poczynając od przyszłego roku szkolnego, do wprowadzenia nieobowiązkowych wykładów języka greckiego, pod warunkiem, aby dla uczniów, którzy na wiosnę r. b. i lat najbliższych mają przejść z klasy czwartej do piątej bez uczenia się tego języka w klasach poprzednich, wykłady jego nie były obowiązkowe do ukończenia gimnazyum, jak również, aby przyszli abituryenci gimnazyalni, nieuczący się języka greckiego, korzystali ze wszystkich praw, dawanych obecnie kończącym gimnazyum, z tem jedynie ograniczeniem, że na wydział historyczno-filologiczny i wschodni uniwersytetów oraz do instytutów historyczno-filologicznych mogą być przyjmowani po zdaniu egzaminu dodatkowego z języka greckiego, według programu, który ma być ustanowiony dla reformowanych obecnie gimnazyów.

Przytoczone Najwyższe wskazówki Najjaśniejszego Pana były przedstawione prezesowi komitetu naukowego ministeryum oświaty dla niezmiennego opierania się na nich przy rozpoznawaniu przesłanego już temu komitetowi materyału do opracowywanej reformy szkół średnich. Komitetowi temu również zalecono zbadać sprawę tych zmian w obowiązujących obecnie planach i programach wyższych klas gimnazyów, jakie wywołuje stopniowe wprowadzenie nieobowiązkowego wykładu języka greckiego, jak również określić, jaka strawa naukowa ma być podana uczniom rzeczonych klas gimnazyalnych zamiast języka greckiego.“

PRASA ROSYJSKA.

Z powodu Reskryptu Najwyższego na imię generał - gubernatora finlandzkiego, z d. 27 marca i tymczasowego postanowienia z d. 20 marca r. b. o środkach ochrony porządku państwowego i spokoju publicznego w Finlandyi, *Finlandzkaja Gazeta* pisze:

„Z wyżyn Tronu uznano, iż spokojny bieg życia na kresach północnych wielkiej Rosyi zakłócono, że źle myślący ludzie porwali część ludności fińskiej na drogę oporu władzy i nawet nie cofają się przed otwartymi gwałtami względem osób wiernych swemu obowiązkowi. Zmiażdżyć bunt i przywrócić porządek środkami zwykłymi — niepodobna; wiele osób urzędujących, a głównie instytucye sądowe odmawiają posłuszeństwa prawu. Niezbędnie przeto potrzeba środków nadzwyczajnych — i te zarządzono. Wyższe władze państwowe w Finlandyi otrzymały szerokie pełnomocnictwa dla ochrony porządku państwowego i spokoju publicznego. Reskrypt Najwyższy tak jasno i stanowczo określa zarówno obecny stan rzeczy w Finlandyi, jak i palącą potrzebę przedsiebrania dla dobra i szczęścia kraju środków stanowczych przeciw wichrzeniom, że wszelkie komentarze są zbyteczne.

Czas bezkarności minął. Oczekiwać, aby wichrzyciele opamiętali się i dobrowolnie poddali rozkazom Najwyższej władzy — niepodobna, przeto należy do tego ich zmusić. W swej wielkiej miłości dla narodu fińskiego Najjaśniejszy Pan udzielił rzeczonych pełnomocnictw nadzwyczajnych tylko tymczasowo, na przeciąg lat trzech, oczywiście w nadziei, iż przy zgodnej pracy rządu i dobrze myślącej części ludności przez ten przeciąg czasu wichrzenia będą złamane i zgodny z prawem bieg życia przywrócony. Zarządzenia prawodawcze ostatnich miesięcy miały na względzie spokojny stan kraju i odpowiednio do tego rozszerzyły pełnomocnictwa generał - gubernatora. Dostateczne w czasie normalnym, nie wystarczają dla walki z wichrzeniami. Tymczasowe postanowienie Najwyższe z d. 20 marca ma właśnie na celu dać władzy w rękę oręż, odpowiadający współczesnemu stanowi rzeczy w Finlandyi.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Przy ministeryum skarbu osobna komisya obraduje nad polepszeniem bytu robotników przez podwyższenie płacy i ubezpieczenie od nieszczęśliwych wypadków.

— *Prawit. Wiest.* donosi, że w d. 19 i 20 z. m. w Kiszyniewie tłum robotników miejscowych urządził rozruchy antiżydowskie, podczas których rabowano i niszczono sklepy i mieszkania, a w bójkach używano kamieni, drągów żelaznych i rewolwerów. Pomoc wojska zapobiegła groźniejszym następstwom napaści, która skończyła się zabiciem 39 oraz poranieniem około 300 osób. Władza zaprowadziła w mieście i okolicy stan ochrony wzmocnionej.

— W Uhnowie, w Galicyi wschodniej, wybuchły rozruchy antiżydowskie; kilka osób zabito; kilkadziesiąt domów spalono.

— Gmina przedmieścia Carolinenthal w Pradze czeskiej postanowiła wezwać przedstawicieli praskiej komisyi statystycznej, aby z wykazów jej usunęła język niemiecki i zastąpiła go językiem francuskim, o wiele wyższym pod względem kulturalnym (*G. Pol.*).

— Emigracya Europejczyków do Stanów Zjednoczonych przybiera olbrzymie rozmiary. W ciągu jedenastu dni kwietnia r. b. przewędrowało przez Nowy York 41,000 wychodźców. Ruch imigracyjny spotęgował się najbardziej z Włoch, gdyż wzrósł z 12 na 33%, następnie z Austryi — z 14 do 27%, natomiast z Niemiec zmniejszył się z 18 na 4%.

Z Poznańskiego. Bank ziemski w Poznaniu ogłosił sprawozdanie ze swej czynności za rok 1902, które wykazuje 165,525 m. 29 fen. zysku przy 14,529,551 m. obrotu. Dywidenda od akcyj wynosi 4%.

Szkoły i wychowanie. Kurator okręgu naukowego warszawskiego wznowił zamierzoną od lat kilku sprawę ułożenia podręcznika do języka polskiego dla szkół średnich. (*W. Dn.*).

— Ministeryum oświaty, uznawszy termin d. 14 września za niedogodny do składania egzaminu ze znajomości języka łacińskiego dla kobiet, chcących

wstąpić do Instytutu lekarskiego, pozwoliło wnosić podania wcześniej, tj. od połowy sierpnia.

Wiadomości naukowe. Inż. Feliks Kucharzewski złożył w Stowarzyszeniu techników 300 rb., przeznaczając je na ogłoszenie konkursu na prace nad słownictwem technicznem. Chcący ubiegać się o nagrodę mają zgłaszać się do d. 1 kwietnia 1904 r., nadesłane artykuły wydrukowane być mają w *Przeglądzie Technicznym* przed d. 1 października tegoż roku, poczem nastąpi przyznanie nagrody.

Sprawy ekonomiczne. *Wars. Dn.* donosi, że jeden z zarządów dóbr państwa w Królestwie Polskiem wystąpił do ministeryum rolnictwa w sprawie zmiany warunków dotychczasowych oddawania włościanom w dzierżawę działek gruntów skarbowych. Zamiast istniejącego systemu oznaczania ceny dzierżawnej, względnie do cen dzierżawnych posiadłości sąsiednich, mają być one na przyszłość oznaczane według uznania zarządu dóbr państwa, po porozumieniu się w tej sprawie z komisarzami włościańskimi, którym stan materyalny włościan w gminach jest dobrze znany. Zmianę warunków dzierżawy wywołała niewypłacalność włościan, dzierżawiących grunta skarbowe i trudność ściągnięcia należności, zwłaszcza w punktach pogranicznych, gdzie ludność małorolna emigruje na zarobki za granicę.

— Komisya, utworzona przy ministeryum skarbu dla rozpatrzenia prawodawstwa handlowego, uchwaliła pozostawić nadal istniejące dotychczas sądy handlowe, a nadto utworzyć je w tych miastach portowych, które instytucyj tych nie posiadają.

Koleje i komunikacye. Ministeryum komunikacyj podjęło sprawę unormowania granic kompetencyi lekarzy przy ocenianiu stopnia utraty zdolności do pracy tych osób, które uległy wypadkowi na kolejach. Obliczono bowiem, że koleje rosyjskie wypłacają w ciągu roku około 900,000 rb. tytułem odszkodowania, wprowadzenie zaś jednakowych zasad ogólnych dałoby możność wiele pretensyj pozostawić bez skutku, a tem samem sumę odszkodowań zmniejszyć.

Katastrofy. Niezwykła, jak na wiosnę, zamieć śnieżna, która szalała w zaprzeszłym tygodniu na Zachodzie Europy, we wschodnich prowincyach Niemiec i na południu Królestwa Polskiego, oprócz wyrządzenia szkód materyalnych w ogrodach i na kolejach żelaznych, stała się powodem śmierci stu kilkudziesięciu ludzi, których znaleziono po stopnieniu śniegów na polach i drogach. Z Hamburga donoszą, że na morzu Baltyckiem i Północnem zatonęły 82 okręty i łodzie, przyczem zginęło 223 ludzi; jeden z marynarzy, który szukał ratunku przywiązawszy się do wystającego z morza masztu, umarł, nie doczekawszy się pomocy.

— Na kolei Moskiewsko-Kursko-Woroneskiej rozbił się pociąg osobowy: jeden z podróżnych został zabity, 2 odniosło śmiertelne, 40 zaś większe lub mniejsze rany.

— Miasteczko Łączyn, w Galicyi, nawiedził pożar, który zniszczył 300 domów; 3 osoby zginęły w płomieniach.

— D. 25 kwietnia w nocy zgorzało miasteczko Mikulińce pod Tarnopolem; 8 osób zginęło w płomieniach, kilkadziesiąt zostało ciężko poparzonych.

— Gwałtowny orkan zniósł zupełnie z powierzchni ziemi miasto Townsville, w Australii. Setki ludzi zginęły.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu W. M. w Tomsku. Nie pomieścimy.

Pani Landowskiej z ul. Długiej. Dziękujemy. Nie mamy już miejsca.

Panu L. B. w Petersburgu. Kajety odebraliśmy. Korekta wysłana. Prosimy o zwrot do redakcyi.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca **A. Dembowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава 17 Апреля 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.